

Robert

Brutter

Spadek  
na  
życzenie



Jack Lemon pojechał jeszcze do szpitala, lecz tym razem nie mógł zobaczyć Pameli. Trwała akurat kolejna konsultacja i pielęgniarka zagroziła mu drzwi, tłumacząc, że gdyby teraz wszedł, jego wyrzuciliby za drzwi, a ją z pracy...

Z ciężkim sercem pojechał do Randalla na spotkanie z Adalbertem Spencerem, Bioenergoterapeuty jeszcze nie było. Randall wprowadził Lemona do znanego mu już pokoju.

## klub srebrnego klucza



— Nie wyglądasz najlepiej — zauważył, spoglądając na niego uważnie.

— Moja dziewczyna, Pamela, leży w szpitalu. Ma ciężki zawał serca...

— Przykro mi, stary — mruknął. — Aig zawał u młodej dziewczyny?

— Słusznie. Pamela była zdrowa i nigdy nie narzekała na serce.

Cena zł 300.- ISBN 83-207-1008-

Robert

Brutter

**Spadek**

**na**

**życzenie**

Okładkę projektował Wiesław Rosocha

Redaktor Zenaida Socewicz-Pyszka

Redaktor techniczny Elżbieta Kozak

Korektor Jolanta Rososińska

ISBN 83-207-1008-1

© Copyright by Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1988

PRINTED IN POLAND

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1988 r.

Wydanie I. Nakład 99650 + 350 egz. Ark. wyd. 6,4.

Ark. druk. 9. Papier offset, ki. V, 70 g, 70 cm (rola).

Skład i diapozytywy: Lubelskie Zakłady Graficzne.

Druk i oprawa: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego”.

Zam. nr 2740/K/88 K-18

## Rozdział I

Jack Lemon, młody reporter londyńskiej popołudniówki „Evening Standard”, rozparty leniwie w podniszczonym, wielkim fotelu, założył nogę na nogę. Do jego niewielkiego mieszkania w Kensington powoli docierał zmierzch. Jack ziewnął, zapalił stojącą obok fotela lampę i sięgnął po „Timesa”. Lekturę zaczął jak zwykle od ogłoszeń.

Pomiędzy licznymi komunikatami o zaginięciu psów, wynajmie domów i sprzedaży wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić, znalazł jedno, na którym dłużej zatrzymał wzrok:

*Przyszli spadkobiercy!  
Sytuacja nigdy nie jest beznadziejna!  
Biuro usług spadkowych, Pimlico,  
Sutherland Street 37.*

Jeszcze jeden naciągacz — pomyślał Jack. — Ale kto wie, naiwnych nie brak. Pewnie i ten cudotwórca nie umrze z głodu. — Przeciągnął się, odłożył gazetę i podszedł do barku.

Jack Lemon był człowiekiem, który niepokojąco często miewał rację.

Roger Holl siedział za biurkiem w niezbyt przestronnym biurze przy Sutherland Street. Był sam. Spojrzał na zegarek: do godziny dwunastej, o której mieli przyjść umówieni klienci, brakowało czterech minut. Siedział spokojnie, z lekko pochyloną głową i przymkniętymi oczami. Po chwili usłyszał odgłos kroków na schodach. Do jego biura weszło dwoje ludzi: trzydziestokilkuletni, lekko już łysiejący, mocno zbudowany mężczyzna i drobna, zgrabna kobieta w wełnianym kostiumie. Spojrzeli na niego trochę niepewnie.

Roger Holl podniósł się powoli ze swego miejsca na powitanie.

— Witam państwa. Nazywam się Roger Holl — powiedział poważnym, niskim głosem. — Gestem dłoni wskazał dwa krzesła stojące przed biurkiem, a sam zajął swoje poprzednie miejsce.

— Chcielibyśmy... — odezwała się nieco niepewnie kobieta — dowiedzieć się czegoś bliższego o szansach, jakie daje pańska pomoc...

— Wiadomości, jakich udzieliła mi pani przez telefon — odparł Holl — są zbyt skąpe, żebym mógł coś na ten temat powiedzieć...

— Tak, rozumiem... — kiwnęła głową. — Mam ciotkę, której jestem jedyną krewną. Ciotka posiada pewien kapitał, który mam odziedziczyć. Bardzo potrzebuję... potrzebujemy — poprawiła się — tej sumy, a wszystko wskazuje na to, że upłyną jeszcze długie lata, zanim... rozumie pan. Radziliśmy się już innych prawników, ale bezskutecznie. Nie wiem, czy pan byłby w stanie...

— Ile lat ma pani ciotka?

— Zaraz — kobieta przeprowadziła szybką rachubę — równe siedemdziesiąt.

— Jej matka dożyła dziewięćdziesiątki — wtrącił milczący dotąd mężczyzna. W jego głosie wyraźnie dawał się wyczuć cień pretensji do starszej pani.

Holl uśmiechnął się lekko.

— Dobrze — powiedział — sądzę, że podejmę się tej sprawy. Będziemy musieli ustalić jeszcze pewne szczegóły organizacyjne i... finansowe, oczywiście. Z mojej strony mogę państwa zapewnić tylko, że najdalej w ciągu miesiąca nabędziecie prawa do spadku.

Mężczyzna pochylił się z wrażenia, kobieta drgnęła.

— Jak? — zapytali niemal równocześnie.

Holl uśmiechnął się.

— Muszą państwo zrozumieć, że jest to moja tajemnica zawodowa. Istotnie nie ma prawnej możliwości przejęcia spadku bez zgody pani ciotki, ewentualnie bez sądowego wyroku o ubezwłasnowolnieniu, który — jak rozumiem — nie wchodzi w rachubę. Spowodujemy zatem, że spadek przejdzie na panią drogą hm... naturalną.

— Ależ... — zaczęła kobieta podnosząc ze zdumienia brwi.

— Mówiłem już pani — przerwał jej Holl — że wszystko będzie naturalne i zgodne z prawem. Żadnej policji, przesłuchań...

— Ależ ciotka będzie...

— Ale spadek będzie pani. Nie zostawicie tu państwo żadnych śladów — podpisów, kwitów, umów. Nic z tych rzeczy. Całą odpowiedzialność i całe ryzyko ponoszę ja. To w końcu wygodna sytuacja dla państwa, prawda?

— Hm, ale co pan jej zrobi? — zapytał mężczyzna.

— To właśnie już moja — uśmiechnął się lekko — tajemnica zawodowa.

— Ależ musimy wiedzieć — poparła męża kobieta — bez tego nie możemy podjąć decyzji!

— Dlaczego? Dokładnie powiedziałem państwu, co i mniej więcej kiedy się stanie. Przeprowadzenie całej operacji, podobnie jak ryzyko i odpowiedzialność — to już moja sprawa.

— Nie wiem... — zaczęła z wahaniem kobieta — musimy mieć trochę czasu do namysłu...

— Po co? — przerwał jej mąż. — Mamy okazję i trzeba ją wykorzystać. Chcesz czekać jeszcze dwadzieścia lat, aż ta starucha wypuści wreszcie z garści swoje pieniądze?

— Dureń! — syknęła cicho przez zęby kobieta. — A jakie jest pańskie wynagrodzenie za tę... usługę? — zapytała.

Holl odchylił się lekko na oparciu krzesła i patrząc prosto na nią powiedział:

— Dziesięć tysięcy funtów.

Mężczyzna uczynił ruch, jakby chciał zerwać się na nogi.

— Ależ to potworna suma! — krzyknął.

— A jaka to część spadku? — zapytał spokojnie Holl.

— Hm... — zająknął się — nie wiem dokładnie...

— Przypuszczam, że niewielka — zakończył sprawę Holl. — Czekam na decyzję państwa.

Kobieta opuściła głowę i zamyśliła się. Udaje — pomyślał Holl. — Jest sprytna i podjęła decyzję, jeszcze zanim tu weszła.

Po chwili kobieta podniosła głowę i oznajmiła:

— Zgadamy się. Nie damy jednak panu żadnego pokwitowania, żadnych papierów, nic. Co do honorarium — musi nam pan zaufać.

Holl uśmiechnął się rozbawiony.

— Zaufanie do klienta jest piękną rzeczą, mam jednak pewniejsze zabezpieczenie, może mi pani wierzyć. No, ale — dodał lekko — jestem pewien, że państwo dotrzymują umów, więc zostawmy ten temat. Chciałbym poznać nazwisko państwa i pani ciotki.

Kobieta udała zmieszanie.

— Nie przedstawiliśmy się? Proszę wybaczyć. Kate i Philip Beynam. Moja ciotka nazywa się Mary Calgaret. To jej adres — wydarła kartkę z notesu i szybko zapisała Hollowi wszystkie dane. — Co pana jeszcze interesuje?

— Parę drobnych szczegółów. Służba, zwyczajnie pani ciotki.



— Och, mieszka ze starą służącą. Raz w tygodniu daje jej wychodne. Nie wiem, jak obecnie, ale ciotka dawniej całymi godzinami przesiadywała w parku. O ile wiem, mało kto ją odwiedza. Jedna, może dwie przyjaciółki. Aha i sąsiadka, stare, wścibskie babsko. Czy to panu wystarczy?

— Tak... — powiedział wolno Holl. — Jeszcze tylko państwa adres i to będzie wszystko.

Kobieta szybko dopisała adres i wstała.

— Będziemy w kontakcie?

— Nie — odpowiedział Holl. — Zobaczymy się jeszcze tylko raz za miesiąc. Przyjdę po pieniądze.

— Panie Holl — odezwał się milczący od pewnego czasu mężczyzna — nie wiem, co pan chce zrobić, ale my się do niczego nie przyznamy. Jeśli robi pan coś nielegalnego, będzie pan musiał radzić sobie sam. Nie przyznamy się, że kiedykolwiek tu byliśmy. Proszę pamiętać!

Roger Holl spojrzał na niego niechętnie.

— Wiem — powiedział. — Niech pan się nie boi.

— Nie boję się — oburzył się mężczyzna — tylko lojalnie pana uprzedzam!

— Niepotrzebnie — mruknął Holl. — Żegnam państwa.

— Do widzenia — powiedziała kobieta.

Mężczyzna skinął lekko głową i wyszedł za nią bez słowa.

Roger Holl siedział jeszcze chwilę na swoim miejscu. Potem wstał, otworzył szeroko okno i odetchnął głęboko.

— Co za ohydna nora — mruknął, patrząc na swoje „biuro”. Ścisnął mocno głowę rękami. — No, jeszcze trochę... — powiedział cicho do siebie.

## Rozdział II

Jack Lemon z zadowoleniem przyglądał się swojej przyjaciółce, Pameli Jones. Miała krótkie, rude włosy, figurę, której tylko wyjątkowo złośliwa kobieta mogłaby cokolwiek zarzucić, i zgrabne nogi, które prezentowała teraz w całej okazałości. Ubrana tylko w jego flanelową koszulę krzątała się boso po mieszkaniu, przygotowując śniadanie.

— Podejdz na chwilę... — mruknął przymykając oczy.

— Tak, a później znów spóźnię się do pracy — odpowiedziała bezlitośnie i dorzuciła: — Niech pan lepiej wstaje, panie Kisch, musi pan zachować siły do swej wyczerpującej pracy.

— Co ci się nie podoba w mojej pracy? — zdziwił się Lemon. — Jesteś zazdrosna, że jestem sławny? Że wszyscy mnie znają, a kobiety zabiegają o moje względy? — Przeciągnął się.

— Jesteś taki sławny, że nie zna cię nawet sąsiadka zza ściany — rozwiła jego marzenia Pamela. — Wstawaj, bo nigdy nie wzniesiesz się ponad kronikę wypadków drogowych. Pani Mary — dodała — uważa, że jesteś dobrym chłopcem, ale dojrzysz dopiero za dziesięć lat i nigdy nie będziesz mężczyzną w pełni sił. Do czterdziestki będziesz chłopcem, a po czterdziestce — staruszkciem. Współczuje mi z tego powodu.

— Naprawdę tak mówiła? — zainteresował się Lemon. — Zacznę pikietować jej dom, dopóki nie odwoła tych oszczerstw.

— To by się staruszce podobało — uśmiechnęła się Pamela. — Miałaby rozrywkę na parę lat.

— Kobiety, kobiety... — mruknął Lemon i niechętnie zaczął wstawać.

Już w samochodzie, kiedy odwoził Pamelę do biura, zapytał:

— O której przyjdiesz?

Pamela Jones praktycznie mieszkała u niego od dwóch tygodni. Z każdym dniem było mu z tym coraz lepiej, choć wciąż niezmiennie uważał, że wytrawny reporter (jakim niewątpliwie był) musi się poświęcić całkowicie pracy i nie może myśleć o założeniu rodziny. Tłumaczył to Pameli mniej więcej co drugi dzień, a ona niezmiennie kiwała poważnie głową i przyznawała mu całkowitą rację. Z niewiadomych przyczyn nie uspokajało go to, lecz przeciwnie — budziło nieokreślony niepokój i potrzebę wyszukiwania wciąż nowych argumentów.

Kiedy zadał pytanie, Pamela uśmiechnęła się i zamruczała:

— A kto powiedział, że przyjdę?

— To jest oczywiste. Jestem obiecującym dziennikarzem, niebywałym kochankiem, przystojnym szatynem, świetnie prowadzę wóz, znakomicie pływam, jestem czarujący...

— O kim mówisz, kochanie?

— Hm...

— Będę o ósmej.

— Tak późno?

— Obiecałam zajrzeć do pani Mary — wyjaśniła Pamela.

— Znowu? — jęknął Lemon.

— Nie znowu, tylko dopiero, bo byłam u niej tydzień temu, a poza tym muszę czasem porozmawiać z kimś inteligentnym. Nie mogę ciągle przebywać z dziennikarzem.

— Ty biuralistko! Powiesz mi wreszcie, czego chcesz od mojej pracy?

— Na przykład pani Mary... — zaczęła Pamela.

— Panią Mary uduszę, jeśli na przykład będzie mnie ciągle obgadywać — zagroził Lemon.

— Jeż dobrze, tygrysku, dobrze — poklepała go po ramieniu. — Masz piękny zawód, a ja postaram się być przed ósmą.

— Hm... musisz do niej iść?  
— Obiecałam. Liczę na spadek i chodzę do niej z chytrości.  
Tak lepiej?

Lemon zwolnił nieco.

— Jest bogata? — zainteresował się nagle.

— Materialista! — oburzyła się Pamela. — Ma jakiś kapitał, ale nie wiem jaki. Zresztą, zmartwię cię: ma rodzinę — siostrzenicę i to zamężną.

— Fatalnie — westchnął Lemon. — Nawet podwójnie fatalnie — raz, że nic nie zarobimy, dwa, że nie masz zmysłu do interesów.

— Zarobimy? Chyba — zarobię? — zauważyła Pamela.

— Materialistka — Lemon zatrzymał się przed jej biurem. — Bądź jak najwcześniej — powiedział, całując ją długo na pożegnanie. Przytulał się coraz mocniej.

— Jack, muszę iść do pracy — ocknęła się Pamela.

— Mhm... złóż wymówienie... — mruknął tuląc ją jeszcze mocniej.

— Przejdę na twoje utrzymanie...

— Będziesz się żywić korzonkami...

— I mrówkami...

— I mrówkami...

— Pa, potworze — powiedziała Pamela.

Wyzwolili się z objęć Lemona i wysiadła z samochodu.

Jack Lemon odchylił głowę na oparcie, westchnął głęboko i zapalił papierosa. Potem dziwnie niechętnie pomyślał o tym, że już najwyższy czas jechać do redakcji. Powoli włączył pierwszy bieg.

Mary Calgaret zamknęła starannie drzwi swojego pokoju przy Oakley Street. Stara Judith, jej służąca, miała dzień wolny i jak zwykle pojechała do swojego syna mieszkającego z żoną i dwójką dzieci na przedmieściach Londynu. Pani Calgaret, mimo swoich siedemdziesięciu lat, trzymała się świetnie. Odbywała

codziennie długie spacery po niedalekim parku, a starannie przemyślana przez lekarza dieta chroniła ją skutecznie przed sklerozą. W odróżnieniu od rówieśniczek zawsze wiedziała, gdzie położyła okulary, co było przedwczoraj na podwieczorek i jaką sumę wypisała ostatnio w książeczce czekowej. Sama twierdziła, że w dobrej kondycji utrzymują ją krzyżówki, za którymi przepadała — rozwiązywała ich po kilka dziennie, a do każdej następnej przystępowała bez odrobiny znużenia, z dziecięcą ciekawością sprawdzając, czym też autor zgadywanki chce ją zaskoczyć.

Od kuku dni czuła się nieco gorzej. Z niewiadomych przyczyn pojawiły się bóle głowy, a do tego zaczęło odzywać się serce. Staruszka odczuwała jakiś nieokreślony niepokój. Lekarz kiwał głową (w sposób, który pani Calgaret zupełnie się nie podobał) i doradzał wypoczynek, spokój i unikanie silnych wrażeń. Konował — myślała pani Mary — cóż innego robię od piętnastu lat? Dziś, jak zwykle, niosła pod pachą kilka tygodników, odznaczających się wyjątkowo przemyślnie układanymi krzyżówkami. Gdy doszła do bramy parku, ukłonił się jej jakiś mężczyzna w ciemnogramatowym garniturze. Widywała go już od kilku dni. Spacerował i czytał gazety.

„Też coś — pomyślała. — Ja w jego wieku nie miałam czasu chodzić o tej porze po parku. Oj, świat się zmienia i to nie na lepsze — zawyrokowała i usiadła na swojej ulubionej ławce. Poprawiła się wygodnie i rozłożyła pierwszą krzyżówkę. „Między Tristanem i Izoldą” — no, proste: „miecz”, „potrawa włoska z ryżu i mięsa” — też coś, jak gdyby... — Przerwała myśl, bo poczuła, że ktoś stanął koło niej. Był to ten sam mężczyzna w granatowym garniturze, który ukłonił się jej przy bramie. Miał bladą cerę, krótko obcięte ciemne włosy i kontrastujące z nimi, bładoniebieskie oczy. Stał spokojnie i czekał, aż zwróci na niego uwagę. Gdy podniosła głowę, patrzył na nią jeszcze przez chwilę, aż wreszcie odezwał się:

— Pani Mary Calgaret. Nie myślę się, prawda?

Odruchowo skinęła głową.

— Proszę mi wybaczyć moją natarczywość — powiedział powoli — lecz pewne niezwykle względy skłaniają mnie do takiego zachowania. Pozwoli pani, że się przedstawię; — raz jeszcze przepraszam, że w takich okolicznościach — nazywam się Jonathan Gable — wyciągnął dłoń.

Pani Calgaret zawahała się nieco, ale podała mu swoją. Ostatecznie nie jestem podlotkiem — pomyślała. — A on w dodatku nie bardzo wygląda na uwodziciela...

W chwili, gdy podała mu rękę, odczuła nagły wstrząs. Dziwne zimno przejęło ją całą, a po sekundzie zlało się całe w klatce piersiowej. Poczwała narastający, przejmujący ból.

— Ja... — próbowała powiedzieć — co to... — i głowa opadła jej bezwładnie na piersi.

— Umierasz — tracąc świadomość posłyszała jeszcze spokojny głos mężczyzny w granatowym garniturze.

## Rozdział III

Pamela Jones po cichu otworzyła drzwi mieszkania Jacka Lemona, weszła do pokoju i oparła się ciężko o ścianę. Lemon spojrział na nią zaskoczony.

— Co się stało? — zapytał wstając z fotela.

Pamela westchnęła głęboko.

— Pani Mary nie żyje — powiedziała cicho.

Lemon siadł osłupiały. Po chwili opanował się, objął Pamelę ramieniem i posadził w fotelu. Poglądził ją po głowie.

— Co jej się stało?

Pamela westchnęła po raz drugi i wzruszyła nieznacznie ramionami.

—Lekarz twierdzi, że atak serca. Zupełny absurd. Pani Judith mówi, że jeszcze wczoraj czuła się zupełnie dobrze.

—Gdzie to się stało? — zapytał Lemon. — W domu?

—Nie — powiedziała Pamela. — Znaleźli ją w parku. Sąsiadka zobaczyła ją leżącą na ławce. Zawsze tam siadywała, żeby rozwiązywać te swoje krzyżówki. Umarła sama, zupełnie sama. To właśnie jest najgorsze! Nikogo przy niej nie było! Biedna, umarła siedząc na tej cholernej ławce w parku!

—No cicho, cicho... — Lemon pogłodził ją po głowie. — Przecież to w końcu nie taka różnica... — dodał półgłosem. — Była chora na serce? — zapytał po chwili.

—Rozmawiałam z jej lekarzem — odpowiedziała Pamela.— Mówił, że miała kłopoty z sercem, ale niezbyt poważne. Raczej normalne w jej wieku. Mówił też, że mogła pożyć jeszcze i dziesięć lat. Był zaskoczony jej śmiercią. Sądzi, że coś mogło ją przestraszyć albo bardzo zdenerwować.

—W tym wieku nie potrzeba wiele... — zauważył Lemon.

—Tak... Lekarz też to powiedział. Biedna pani Mary. — Mówiłaś, że miała rodzinę. Ktoś ich zawiadomił?

—Tak. Ta sąsiadka, która znalazła panią Mary, zadzwoniła do Judith, bo służąca miała wolne i była u syna. Judith miała numer telefonu do siostrzenicy pani Mary i zadzwoniła do niej. Podobno była zdziwiona, jak bardzo ta siostrzenica się przejęła. Od paru lat widywały się bardzo rzadko. Pani Mary nie przepadała za nią. Myślałam, że z wzajemnością.

—Kiedy to się stało? — zapytał Lemon.

—Rano, około dziesiątej. Ta sąsiadka, pani Daveson, mówi, że pani Mary umarła prawie na jej oczach. Siedziała w parku kilkadziesiąt metrów dalej i czytała książkę. Widziała, jak pani Mary siedziała na ławce, później z kimś rozmawiała, a kiedy

pani Daveson spojrzała po jakimś czasie, zobaczyła, że pani Mary leży jakoś dziwnie na ławce. Podeszła do niej i zobaczyła, że nie żyje. Przeraziła się bardzo... — Pamela westchnęła głęboko i oparła głowę na ramieniu Lemona. — Najgorsze jest dla mnie właśnie to — powtórzyła cicho, zapalając papierosa — że umarła sama. Nikogo przy niej nie było.

— Tak... — Lemon wstał powoli, podszedł do barku i przyrządził dwa drinki.

— Trzymaj — podał jedną szklaneczkę Pameli — to ci dobrze zrobi.

— Może... — Pamela bez przekonania pociągnęła mały łyk. — To straszne, jak życie może się beznadziejnie skończyć — powiedziała cicho. — Ławka, park i... koniec.

— Miała już siedemdziesiąt lat... — zauważył Lemon.

— Tak, oczywiście...

— Chodź, pójdziemy gdzieś na kolację — zaproponował.

— Nie, Jack — powiedziała Pamela. — Zostańmy dziś w domu, dobrze?

— Jasne. Posiedzimy, porozmawiamy i pomartwimy się we dwoje, O.K.? Dopij, to zrobię ci drugiego drinka, chcesz?

— Zrób — skinęła głową Pamela. — Dużego.

Tydzień później, wczesnym wieczorem, do drzwi domu Kate Beynam, siostrzenicy Mary Calgaret, zadzwonił mężczyzna w granatowym garniturze. Otworzył mu jej mąż. Miał na sobie wytartą tweedową marynarkę i płócienne spodnie. Najwyraźniej nie spodziewał się gości.

— Dzień dobry — powiedział cichym, głębokim głosem Holl.

Beynam drgnął lekko na widok gościa.

— Ach, to pan — patrzył na niego z wyraźną obawą. — Proszę,



niech pan wejdzie — dorzucił pośpiesznie. Szybko zamknął drzwi i wskazał gościowi drogę do pokoju. — Mamy gościa, Kate — powiedział głośno. — Przyszedł pan Holl.

Kate Beynam wstała szybko na widok wchodzącego.

— Słucham pana? — rzuciła nerwowo, starając się, aby jej głos zabrzmiał wyniosłe.

— Nie trzeba słuchać — powiedział brutalnie Holl. — Trzeba płacić. Pani ciotka zmarła tydzień temu. Spadek jest to wzięcia.

— Właśnie — potwierdziła Kate Beynam — ciotka zmarła. Na atak serca, panie Holl. Nasza umowa jest w tej sytuacji — jak sam pan rozumie — nieważna. Nie mamy za co panu płacić.

— Niech pani nie będzie śmieszna — wycodził przez zęby Holl. — Powiedziałem wam, że dostaniecie spadek w ciągu miesiąca. Od naszej rozmowy upłynęło dziesięć dni. Pani ciotka nie żyje, dostanie pani spadek. Lekarze stwierdzili, jak pani mówi, atak serca, więc nie będziecie mieli kłopotów z policją. Wszystko tak, jak zapowiedziałem.

Pani Beynam pobladła i opuściła ciężko głowę.

— Co pan jej zrobił? — spytała siadając na sofie.

— To moja sprawa — odparł sucho Holl.

— Tak... — wydawało się, że nie liczyła na inną odpowiedź. Jej opór i wyniosłość ulotniły się bez śladu. Ukryła twarz w dłoniach.

— A jeśli nie zapłacimy? — spróbował jeszcze jej mąż.

— Proszę nie sądzić, że pana straszę — uśmiechnął się lekko Holl — ale przytrafi się panu to, co ciotce pańskiej żony. A pana żona zapłaci wówczas dwadzieścia tysięcy albo spotka ją to samo.

— Philipie — odezwała się Kate Beynam — zapłać mu.

— Kate... — zaczął jej mąż.

— Zapłać, idioto! — syknęła, gwałtownie uderzając pięścią w oparcie sofy — nie widzisz, że on to wszystko zrobił. Daj mu

pieniądze i niech idzie stąd jak najdalej.

Philip Beynam wyszedł powoli z pokoju. Po chwili wrócił, niosąc grubą, białą kopertę. Podeszedł z nią do stojącego wciąż niedaleko drzwi Holla.

— Proszę — powiedział sucho — dziesięć tysięcy funtów. I radzę zapomnieć, że pan nas kiedykolwiek widział — dodał z groźbą w głosie. — To moja żona się przestraszyła, nie ja.

— Dziękuję — powiedział Roger Holl, wkładając kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki. — Pan się przestraszył jeszcze bardziej niż pańska żona — zauważył — ale to nie ma znaczenia. A dyskrecja leży w naszym wspólnym interesie. Żegnaj. — Odwrócił się od osłupiałego Beynama i wyszedł, zamykając za sobą starannie drzwi.

— Psiakrew! — oprzytomniał gospodarz. — Daliśmy się wydoić jak potulne barany!

— Krowy...

— Co krowy?

— Baranów się nie doi, głuptasie — uśmiechnęła się Kate Beynam. — Pomyśl, ile ciotka miała w banku — przeciągnęła się. — Czy ten Holl przyczynił się do tego, czy nie, sto pięćdziesiąt tysięcy funtów zmienia właściciela...

— Tak — rozjaśnił się Beynam. — Kiedy otwarcie testamentu?

— Jutro, o szesnastej. Pójdiesz ze mną?

— Ba!

Następnego dnia wieczorem do mieszkania Jacka Lemona wpadła jak bomba Pamela Jones. Lemon był właśnie w trakcie ulubionego zajęcia — lektury ogłoszeń „Timesa” — i tak niespodziewany widok wyrwał go brutalnie z błogiego lenistwa.

— Nabawię się przez ciebie nerwowych tików — ostrzegł i siląc się na obojętność zapytał: — Co tak późno? Namawiałaś szefa, żeby dał ci podwyżkę?

— Świntuch — skwitowała krótko Pamela i uprzedziła: — Jak się tak będziesz zachowywał, nie powiem ci, co się stało!

—?

— Zadzwoił do mnie adwokat pani Mary.

— No i...

— I oznajmił mi — Pamela ?robiła głęboki wdech — że o szesnastej u reagenta odbędzie się otwarcie testamentu i poprosił, żebym przyszła. Zapytałam, oczywiście, po co, bo przecież nie jestem z nią spokrewniona, a on na to, że istnieją ku temu ważne powody, ale nic więcej nie może powiedzieć, więc żebym przyszła.

— No i...

— No i poszłam, oczywiście. Była siostrzenica pani Mary z mężem i Judith. Po otwarciu testamentu okazało się, że pani Mary zapisała mi połowę sumy, jaką miała w banku.

— Ho, ho — zaśmiał się Lemon. — A ile tego jest?

— Dostanę — Pamela zrobiła przerwę — około siedemdziesięciu pięciu tysięcy funtów!

Lemonowi „Times” wysunął się z ręki. Nerwowo sięgnął po papierosa. Już za czwartym razem udało mu się zapalić zapalniczkę — co uznał za duży sukces — i zapytał:

— Ile, kochanie?

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy skarbie — powtórzyła Pamela. — Możesz mi zrobić drinka?

— Mogę — wymamrotał.

— Jest też część znacznie mniej przyjemna — westchnęła Pameli.

— Masz wpłacić wszystko na schroniska dla bezdomnych kotów? — domyślił się życzliwie Lemon.

— Nie — uśmiechnęła się smutno Pamela. — Państwo Beynam.

— Co to za jedni?  
— Siostrzenica pani Mary i jej mąż.  
— A... — współczująco westchnął Lemon. — Czyżby...  
— Właśnie. Pani Mary zapisała im drugą połowę, a zdaje się liczyli na całość...  
— Wiedzieli o tych pieniądzach?  
— Tak by wyglądało. Kate ograniczyła się do wściekłych spojrzeń, ale jej mąż...  
— No?  
— Zrobił mi normalną awanturę. Powiedział mniej więcej, że jestem cyniczną naciągaczką i że wkradłam się podstępnie w łaski staruszki.  
— Nieźle!  
— Gadał jeszcze dużo różnych rzeczy. Kiedy mu powiedziałam, że nic nie wiedziałam o tych pieniądzach, najpierw mi nie uwierzył, a potem powiedział coś dziwnego. Myślałam o tym cały czas w drodze tutaj Powiedział coś takiego: „Dlaczego masz dostać te pieniądze, ty nic nie zrobiłaś, nic cię to nie kosztowało”. A wtedy Kate powiedziała: „Zaniknij się, idioto”.  
— No i co?  
— Nie rozumiesz? On wyraźnie podkreślił to „ty”. Jakby on coś zrobił, żeby dostać te pieniądze!  
— Może miał na myśli wizyty i różne przymilania? — zaproponował Lemon.  
— Ależ oni nie widzieli się od trzech lat! — zdenerwowała się Pamela. — Wymieniali tylko świąteczne kartki!  
— Hm... ciekawe... — zamyślił się Lemon. — Uważasz, że ten Beynam zasztyletował panią Mary, a później upozorował atak serca?  
— Nie wygłupiaj się — Pamela oparła głowę na rękach. — Naprawdę uważam, że coś tu jest nie w porządku. Nie widziałeś ich wściekłości, zawodu, ich... zacięcia czy czegoś takiego. Myślę, że coś tu jest nie tak — powtórzyła z uporem.  
— Ale jak, dziecinko? — zaproponował Lemon. — Jak mogli

coś zrobić pani Mary, jeśli umarła zwyczajnie, na atak serca? To w końcu nie takie rzadkie, że ktoś się wścieka przy otwarciu testamentu, prawda?

— Tak, tak... — zgodziła się bez przekonania Pamela. — Ale z tym twoim sceptycyzmem nie zajdziesz daleko, Jack. Z góry odrzucasz wszystkie bombowe tematy.

— Bombowe tematy? — uśmiechnął się Lemon. — Bombowe tematy... — powtórzył w zamyśleniu.

— Coś ci przyszło do głowy? — zapytała Pamela.

— Tak... Nie, nie, nic takiego. A ty co chcesz zrobić? — zmienił temat Lemon.

— A co ja mogę zrobić? — zapytała zniechęcona Pamela.

— Nic, co by miało sens — powiedział zamyślony Lemon — ale możesz porozmawiać jeszcze raz z tą sąsiadką, jak ona się...

— Daveson.

— Właśnie. Niech ci opowie dokładnie wszystko jeszcze raz. Może widziała coś jeszcze, coś, o czym zapomniała, nie wiem. Ten atak serca potwierdziła policja?

— Tak. Wczoraj były podobno wyniki sekcji. Atak serca.

— No cóż, porozmawiaj jeszcze z tą Daveson. Nic to pewnie nie da, ale w końcu nie zaszkodzi — machnął ręką Lemon. — Na razie mam większy kłopot — dodał. — Co zrobisz, kochanie, z taką górą pieniędzy?

Pamela uśmiechnęła się.

— Nie bój się, nie zapomnę o tobie — powiedziała czule. — Postawię ci piwo.

— Sknera — mruknął Lemon. — Czy twoja rodzina nie pochodzi ze Szkocji?

Następnego dnia Pamela Jones wybrała się do pani Daveson. Jack miał wieczorem dyżur w redakcji, nie musiała się zatem spieszyć. Jako osoba od wczoraj bogata, postanowiła

zafundować sobie taksówkę. W ostatniej chwili zapakowała do torebki mały magnetofon Lemona.

— Może się przydać — mruknęła do siebie i włożyła do niej dwie zapasowe kasyety.

Taksówka kosztowała majątek. Ale wobec mojej pensji, a nie siedemdziesięciu pięciu tysięcy — pomyślała Pamela i bez wyrzutów sumienia zapukała do sąsiadki pani Mary — Marty Daveson.

Starsza pani — uprzedzona telefonem — czekała już z herbatą.

— Wejdz, moja droga, wejdz — zadreptała pomagając jej zdjąć płaszcz i podsuwając krzesło.

Była zupełnie siwa. Wyglądała na trochę więcej niż sześćdziesiąt lat, które miała w istocie. Nieco drżącą ręką podsunęła Pameli filiżankę i nalala herbaty.

— Dobrze, że przyszedłaś — powiedziała po chwili. — Chciałam jeszcze porozmawiać o tym wszystkim, tu mało kto znał bliżej biedną Mary, a ona ciebie tak lubiła... Weź mleczko, kochanie. Co za okropna historia, biedna Mary, ile razy o tym myślę, to chce mi się płakać...

Pamela położyła swoją dłoń na jej dłoni.

— Tak nie można — powiedziała. — Pani Mary nie lubiła płaczu, pamięta pani?

— Tak, tak, kochanie, masz rację — pani Daveson przetarła chusteczką oczy. — Mary miała już swoje lata dodała — doktor mówił, że nie cierpiała... — głos jej zadrżał, ale opanowała się szybko — i tak żyła długo...

— Pani Marto — zaczęła Pamela, dyskretnie włączając magnetofon, którego, żeby nie peszyć rozmówczyni, postanowiła nie wyjmować z torby — czy mogłaby mi pani opowiedzieć wszystko dokładnie jeszcze raz? Wtedy obie byłyśmy zdenerwowane, wielu rzeczy nie zrozumiałam albo do mnie nie dotarły. Chciałabym posłuchać jeszcze raz, spokojnie...

— Dobrze, moje dziecko, dobrze. No więc, kochanie, to był

poniedziałek, prawda? Biedna Mary codziennie chodziła do parku na spacer. Jeśli była pogoda, to siedziała na ławce i rozwiązywała krzyżówki. Bardzo lubiła krzyżówki, wiedziałaś o tym?

— Tak — potwierdziła Pamela.

— Właśnie, mówiła, że to ćwiczy jej umysł i broni przed sklerozą. Rzeczywiście, miała świetną pamięć, prawda? — Pamela skinęła głową. — No więc w ten poniedziałek zobaczyłam ją w parku. Ja też tam chodzę, ale nie co dzień, tylko jak jest ładna pogoda. Lubię poczytać sobie na świeżym powietrzu. To bardzo zdrowo na oczy — w czasie czytania popatrzeć co jakiś czas na zieleń. Mary mnie nie zauważyła — siedziałam nieco w głębi, w cieniu — i usiadła na „swojej” ławce. Miała taką swoją ławkę, koło krzaków dzikich róż. Zawsze na niej siadała, jeśli nie była zajęta. No więc Mary mnie nie zauważyła, ale gdyby zauważyła, toby nic nie zmieniło. Lubiała mieć spokój przy tych swoich krzyżówkach. Mówiła, że nie może się skoncentrować, kiedy nie jest sama. Pomyślałam, że nie będę jej przeszkadzać i czytałam sobie dalej. Po chwili spojrzałam w jej kierunku i zdziwiłam się. Ktoś z nią rozmawiał.

— Nie wie pani, kto to był? — spytała Pamela.

— Nie, kochanie. Widziałam go pierwszy raz. Taki wysoki, szczupły, młody człowiek w ciemnym garniturze. Mógł mieć 30—35 lat. Miał ciemne włosy, ale był bardzo blady. To dość rzadkie, prawda? Bruneci mają zwykle śniadą cerę. Ale może tylko Włosi?

— Zauważyła pani, jaką miał cerę? — zdziwiła się Pamela. — Mówiła pani, że to było dość daleko.

— Wtedy nie widziałam, to dopiero później, zaraz do tego dojdę, kochanie — wyjaśniła pani Daveson. — Jak mówię, zdziwiłam się, że Mary z nim rozmawia, ale to w końcu nie moja sprawa. Zauważyłam, że podali sobie ręce, ale Mary chyba fuknęła na niego albo coś, bo machnęła ręką i wydawała się

bardzo zdenerwowana. Przestałam na nich patrzeć. Mogli mnie zobaczyć, a nie chciałam, żeby Mary pomyślała, że ją obserwuję czy coś takiego. Spojrzałam jeszcze tylko raz, ale zobaczyłam, że ten człowiek grzecznie się uklonił i odchodzi, więc szybko odwróciłam wzrok.

— I co dalej? — zapytała niecierpliwie Pamela.

— Po chwili usłyszałam kroki. Zobaczyłam, że to ten młody człowiek przechodzi koło mnie i wtedy mu się przyjrzałam. Nie wyszedł tym najbliższym wyjściem, tylko przeszedł na drugą stronę parku, wiesz, tam są jeszcze inne bramy.

— Jak on wyglądał, pamięta pani, pani Marto?

— Tak jak ci powiedziałam. Był wysoki, szczupły, miał ciemne włosy i był blady. Aha i miał jeszcze bardzo jasne niebieskie oczy, zwróciłam uwagę, bo to też dziwne u bruneta, prawda?

— Tak... — przyznała Pamela. — A pani Mary co wtedy robiła?

— Ona wcale na niego nie patrzyła, siedziała z pochyloną głową, jakby się zamyśliła. No więc zaczęłam czytać dalej. Pomyślałam, że to w końcu nie moja sprawa. Ale po kilkunastu minutach, kiedy skończyłam akurat rozdział, spojrzałam znowu na nią. Patrzę, ona prawie leży, jakoś tak dziwnie na ławce, a gazety zsunęły się na ziemię. Pomyślałam, że coś się stało i szybko podeszłam, do niej. A ona biedna już nie żyła — oczy pani Daveson znowu zwilgotniały. — Była zupełnie bezwładna. Myślałam, że może zemdląca, ale kiedy nie mogłam jej ocucić, wybiegłam z parku — wiesz, tam o tej porze prawie nikogo nie ma — i zawołałam policjanta. Policjant wezwał lekarza, ale już na próżno... — westchnęła głęboko. — A co było później, to już wiesz.

— Tak... Jak pani myśli, co to był za człowiek? — zapytała Pamela.

— Ten w parku? Sama się nad tym zastanawiam — zadumała się Marta Daveson. — Nigdy go nie widziałam na oczy... Nie



wiem dlaczego, ale nie wywarł na mnie sympatycznego wrażenia. I nie mam pojęcia, kto to mógł być.

— A czy... — zawahała się Pamela — czy możliwe jest, że ten człowiek zrobił coś złego pani Mary? Nie wiem, nastraszył ją, zagroził czymś albo...

— Pamelu, kochanie... wydawało mi się że Mary go znała. Być może zrobił coś takiego, nie wiem... gdybym siedziała bliżej...

— A dlaczego pani sądzi, że się znali?

— No, podali sobie ręce, rozmawiali, myślałam, że to jakiś znajomy.

— Aha. A nie pamięta pani, czy pani Mary mówiła kiedyś o kimś takim? Że ma takiego znajomego czy coś w tym rodzaju?

— Nie, nie, na pewno nie. Właśnie dlatego byłam zdziwiona, bo sądziłam, że znam wszystkich znajomych Mary. A to był ktoś zupełnie nowy, nigdy o nim nie słyszałam ani go nie widziałam.

— No, trudno — zrezygnowała Pamela — zostawmy już tę sprawę.

— Widzisz — odezwała się z wahaniem w głosie pani Daveson — ja też sądziłam, że on musiał powiedzieć Mary coś strasznego albo zrobić — nie wiem. Ale dużo o tym myślałam i... wątpię, żeby to było możliwe. Znałam Mary bardzo długo — w jej życiu nie było chyba nic takiego, czego przypomnienie mogłoby ją przestraszyć. Nie bardzo wierzę, żeby to mogło być coś innego. Nawet gdyby zaczął jej grozić albo celował do niej z pistoletu, to też... nie bardzo wierzę, żeby mogła się aż tak przestraszyć. Znałaś ją przecież — to była bardzo dzielna kobieta. Mogła się zdenerwować, ale żeby aż tak... nie chce mi się wierzyć.

— Może ma pani rację — powiedziała Pamela — może... Przepraszam, że tak długo zawracałam pani głowę — ocknęła się nagle.

— Ależ, kochanie — uśmiechnęła się pani Daveson — mówiłam ci, że chciałam się wygadać. A ty musisz mi jeszcze powiedzieć, co zrobisz z pieniędzmi — dodała przekornie — nie pozwolisz chyba, żebym umarła z ciekawości...?

— O! To pani już wie? — zdziwiła się Pamela.

— Dziecinko, wiedziałam od dawna. Byłam świadkiem podczas sporządzania testamentu — uśmiechnęła się starsza pani.

— Ach tak. Nie wiem jeszcze, co zrobię. Dowiedziałam się dopiero wczoraj... nic jeszcze nie wymyśliłam.

— Tak przypuszczałam — zgodziła się pani Daveson. — Wybacz starej ciekawość.

Pamela pocałowała ją w policzek i uśmiechnęła mocno. Przy drzwiach pani Daveson przytrzymała ją za rękę.

— Gdybyś przechodziła kiedyś niedaleko, zajrzyj do mnie na herbatkę, dziecinko — powiedziała serdecznie.

— Pod jednym warunkiem — uśmiechnęła się Pamela.

— ?

— Że mi pani nic nie zapisze — powiedziała, pocałowała ją jeszcze raz w policzek i wyszła.

Jack Lemon wrócił późno. Pamela drzemała przed włączonym telewizorem. Spiker zachłystywał się właśnie niebywałą jakością nowego środka piorącego, a na ekranie powiewały śnieżnobiałe, intymne części garderoby, kiedy Lemon podszedł do niej cicho i delikatnie pocałował ją w nos.

— Pani Penelopa Jones? — zapytał.

— Obecna — mruknęła Pamela przeciągając się leniwie. — Co ty sobie wyobrażasz! — otrzeźwiała nagle. — Dwa razy odgrzewałam kolację! Która godzina?

— Dochodzi pierwsza — powiedział szybko Lemon.

Pamela spojrzała na zegarek.

— Jest wpół do drugiej!

—No popatrz... — zdziwił się Lemon. — Zegarek mi stanął...  
—Zegarek? Stanął? — Pamela podniosła jasek leżący na tapczanie.

—Zaraz go naprawię...

Rzuciła poduszką w Lemona.

—Co ty sobie wyobrażasz?!

Lemon zrobił zęza i miękko osunął się na dywan.

—Wszystko ma swój kres... — wymamrotał i zamknął oczy.

—Optymista — powiedziała Pamela — ja dopiero zaczęłam, kochanie — przyklękła przy nim i troskliwie uniosła jego głowę.

—Żegnaj, Pamelo — słabym głosem powiedział Lemon.

—Żegnaj, najdroższy... — odpowiedziała, ucałowała delikatnie jego czoło i zaczęła go laskotać.

—Tylko nie to! — wrzasnął Lemon. — Przestań! Zrobię wszystko, co zechcesz...

—Wszystko? — zastanowiła się Pamela. W jej oku pojawił się złośliwy błysk. — Wytrzepiesz dywan.

—Dobrze, kochanie — zgodził się szybko Lemon. — Jutro z samego rana wytrzepię.

—Teraz, skarbie — dobiła go Pamela.

—Co? Jest wpół do trzeciej! Nie!

—Nie?

—Nie! — Lemon zerwał się niespodziewanie, chwycił Pamelę na ręce i zaniósł na tapczan. — Przetrzepię ci skórę, a nie dywan — zagroził.

—Przetrzep... — Pamela ułożyła się w kuszącej pozie — przetrzep...

—Hm... Pamelo, miałem ciężki dzień... — mruknął Lemon.

Pamela otworzyła szeroko oczy.

—...i dlatego — kontynuował Lemon — daruję ci pod pewnymi warunkami — objął ją.

— Szantażysta — mruknęła cicho.

— W życiu panują prawa dżungli, kochanie — powiedział przyciągając ją do siebie.

W niecałą godzinę później leżeli na tapczanie przykryci kocem. Lemon sięgnął leniwie po papierosy. Zapalili oboje wydmuchując powoli dym w kierunku sufitu.

— Kochanie — odezwała się Pamela.

— Mhm.

— Byłam u pani Daveson...

— Mhm...

— Opowiedziała mi wszystko dokładnie jeszcze raz.

— Mhm...

— Nic ci więcej nie powiem — zagroziła.

— Mhm... — zapędził się Lemon. — Ależ mów, kochanie — poprawił się — to bardzo — nie mógł powstrzymać ziewnięcia — interesujące...

— Jesteś okropny — zdenerwowała się Pamela.

— Los mnie pokarał złością... — wymamrotał Lemon i zasnął.

Co za człowiek — pomyślała Pamela — do niczego nie dojdzie przez to swoje lenistwo. Nic, tylko by spał, pił piwo albo czytał ogłoszenia w „Timesie”! — Wyjęła ostrożnie niedopałek z dłoni Lemona, zgasiła oba papierosy, pocałowała go delikatnie i ułożyła się do snu.

— Mhm — powiedział przez sen Lemon.

Następnego dnia Lemon obudził się późno. Pameli już nie było. Skrzywił się i przetaił zaspane oczy. W ustach czuł smak wypalonych wczoraj papierosów, a oporne jego woli mięśnie przypomniały mu o pracowitym dyżurze. Żyć nie umierać — pomyślał, skrzywił się powtórnie i wciąż przecierając oczy poszedł do łazienki. Po kwadransie, prawie już obudzony, wrócił do pokoju. Na stole zauważył przygotowane śniadanie i kartkę:

*Chrapanie powinno być karane ciężkim więzieniem*

*Pamela*

Lemon uśmiechnął się i popatrzył na kanapki, dzbanek z lekko już wystygłą kawą i pustą filiżankę.

Jednak jestem dzieckiem szczęścia — pomyślał. — Szkoda tylko, że odziedziczyła taki spadek, przypomniało mu się. No, ale to nie jej wina — dodał sprawiedliwie i zasiadł do śniadania.

Kiedy kończył ostatnią kanapkę, jego wzrok padł na półkę, na której zwykle kładł swój mały magnetofon. Oho, Pamela nagrywała — pomyślał widząc, że wszystko przewrócone jest do góry nogami. Pewnie na moich ostatnich czystych kasetach — dodał przewidująco. Sięgnął po magnetofon, przewinął kasetę, wcisnął klawisz: „No więc, kochanie, to był poniedziałek, prawda?” — popłynął z głośnika głos pani Daveson.

Pamela wzięła się na serio do sprawy — pomyślał, nie wyłączył jednak magnetofonu i słuchał dalej. Taśma przewijała się powoli, a Lemon słuchał coraz uważniej. Pomiedzy jego brwiami pojawiła się mała, pionowa zmarszczka. Ostrożnie, żeby nie uronić ani jednego słowa, przysunął sobie popielniczkę i sięgnął po papierosa. Kiedy nagranie dobiegło końca, zamyslił się na długą chwilę. Pamela może mieć rację — zdecydował się — coś jest w tej sprawie nie tak. Znalazł notes, przerzucił kilka kartek i podszedł do telefonu. Szybko wykręcił numer.

— Mówi Jack Lemon, chciałbym rozmawiać z inspektorem Calderem.

Inspektor był przyjacielem jego ojca. Dawniej widywali się często. Giles Calder wpadał do ojca na partię szachów albo po prostu na pogawędkę. Po śmierci ojca kontakty rozluźniły się, ale wzajemna sympatia pozostała.

— Słucham — odezwał się inspektor.

— Mówi Jack Lemon. — Po zwyczajnych formułkach

dotyczących zdrowia, pogody i ostatnich wiadomości Lemon krótko streścił całą sprawę.

— Aha — skwitował Calder. — I co ja mam robić?

— Niech mi pan powie, czy nie wydaje się to wszystko trochę podejrzanę? — spytał Lemon.

— Nie, to znaczy trochę tak, ale nie na tyle, żeby to cokolwiek zmieniło — odpowiedział inspektor. — Mamy świadectwo zgonu, sekcję i testament. Wszystko legalne. Siostrzenicy ani jej męża nikt w pobliżu nie widział, tak?

— Nikt — przyznał Lemon.

— Masz zatem dwie możliwości: albo wszystko jest w porządku, albo starali się trochę „przyspieszyć” otrzymanie spadku, ale w sposób naturalny.

— Naturalny? — zdziwił się Lemon.

— Tak, to się czasem zdarza. Była na przykład taka historia, że żona wykończyła męża podając mu na obiad to, co lubił. Baraninę na ostro, whisky i tak dalej.

— I co? — nie zrozumiał Lemon.

— Umarł po półtora roku. Od dawna miał chorą wątrobę.

— Aha!

— Rodzina próbowała ją zaskarżyć. Bez rezultatu.

— Przypuszczam... — przyznał Lemon.

— Mogło być coś takiego i w tym wypadku — kontynuował inspektor — powiedzmy, starali się jej dyskretnie utrudniać życie, denerwować i tak dalej.

— Szansa była nikła. Staruszka trzymała się dziarsko.

— Może — zgodził się inspektor. — Ale w tym wieku trzeba uważać na wszystko... Mogli co jakiś czas przysyłać faceta, który ją straszył, groził albo coś takiego.

— Dałoby się to sprawdzić? — spytał Lemon.

— Starsza pani mogła wspominać o tym komuś, ale to wszystko. Nawet gdybyśmy znaleźli takie potwierdzenie, nic nam ono nie da. Nie będzie podstaw do rozpoczęcia śledztwa.

— Tak... — Lemon myślał przez chwilę. — Może to było i

tak. Choć — no nic. Przepraszam, że zwracałem panu głowę. Dziękuję za fachową pomoc!

— Nie ma za co. Twoje pomysły mile urozmaiciły mi przesłuchania złodziei torebek w domach handlowych. Cześć!

— Do widzenia — Lemon odłożył słuchawkę. Nalał sobie whisky, wrzucił kostkę lodu i usiadł w swoim ulubionym fotelu.

— Mhm — zaciągnął się głęboko papierosem — może to było tak, a może inaczej... A gdyby — zamyślił się głęboko. Po kwadransie wstał, dopił whisky i wyszedł z domu.

Od godziny Lemon siedział w najcichszym kącie redakcji i uważnie wertował grubą teczkę wycinków. Kiedy poprosił jednego z przyjaciół o wszystko, co napisano w ostatnim roku o spadkach, ten na szczęście ograniczył się tylko do kilku dowcipów i po dziesięciu minutach przyniósł mu ich cały pakiet.

— Dużo tego — zdziwił się Lemon.

— Urodzaj w tym roku — przytaknął archiwista.

— A w poprzednich latach było inaczej? — zagadnął Lemon.

— Przynajmniej mniej o tym pisano. Pewnie dlatego, że nie było tylu większych spadków.

Lemon zaczął metodycznie przeglądać artykuły. Po godzinie pracy miał już jakieś takie rozeznanie. Zdecydowaną większość stanowiły krótkie wzmianki, że z takiej to a takiej przyczyny zmarła taka a taka osoba, była tym a tym, że zostawiła w spadku około tylu a tylu funtów, ewentualnie nieruchomości, które dziedziczą ci a ci. Resztę stanowiły spadki — sensacje, wielomilionowe sumy, procesy z nimi związane itp. Znalazł też króciutką notatkę jednej z gazet porannych o pani Mary. Wyeksponowana była suma, jaką pozostawiła w spadku. Lemon

zabrał się do segregowania materiału. Postanowił wybrać tylko te wypadki, które w największym stopniu przypominały sprawę Mary Calgaret. Odrzucił wielkie, zaopatrzone sensacyjnymi nagłówkami artykuły, zaczął natomiast studiować notatki. Odkładał na bok tylko te, w których osoba zmarła „niespodziewanie” była w podeszłym wieku, a przyczyną śmierci był atak serca. W najgorszym wypadku napiszę odkrywcy artykuł o niebezpieczeństwie ataku serca w okresie późnej starości — pomyślał. — Sześć chyba by zemdleł, gdybym mu przyniósł coś takiego. Sam ma zresztą swoje lata.

Po takiej selekcji zostało mu około trzydziestu wycinków. Po namyśle wykluczył wszystkie wypadki, które nie miały miejsca w Londynie. Pozostało mu dziewiętnaście notatek. Niezdrowo dożywać późnych dni w Londynie — pomyślał. — Zwłaszcza jak się ma majątek.

Pozbierał wszystkie niepotrzebne materiały i oddał archiwistę. Wybrane dziewiętnaście wycinków zapakował do koperty i włożył do wewnętrznej kieszeni marynarki. Archiwista zgodził się wypożyczyć mu je na kilka dni.

Roger Holl siedział przy biurku w swoim biurze przy Sutherland Street. Była 14.27. Za trzy minuty oczekiwał klienta. Na jego palcu połyskiwał ciężki, złoty sygnet — jedyna oznaka dobrobytu, na którą pozwolił sobie w chwili słabości. Poza tym nie zaszła w nim od kilku miesięcy żadna zmiana. Nosił wciąż na przemian jeden ze swoich trzech ciemnogranatowych garniturów. Koszule i krawaty kupował w tym samym domu towarowym co dawniej. Nie zmienił się także wygląd biura. Na środku królowało to samo podniszczone wielkie biurko, przed nim stały te same tanie fotele. Holl był przesądny — nie zmienił niczego od czasu pierwszych sukcesów, choć mógł to zrobić dawno. Nie przywiązywał zresztą wielkiej wagi do wyposażenia



biura. Interesowało go naprawdę tylko jedno — stan konta w banku. A tempo zachodzących w nim zmian zupełnie go satysfakcjonowało. Jak zwykle najpierw usłyszał kroki na schodach. Klient, który teraz do niego szedł, był tu już poprzednio. Ma bogatą ciotkę, którą „szacuje” na trzysta tysięcy funtów, jest jej jedynym spadkobiercą, a musi żyć z własnej, skromnej pensji urzędnika niższej kategorii. Z oszczędnych wyjaśnień Holla zorientował się, że nie da się uzyskać spadku bez przeniesienia ciotki do lepszego świata. Wahał się, głównie jednak z obawy przed ryzykiem, a nie z troski o ciotkę. Holl nie wątpił, że dziś klient przyniesie mu odpowiedź pozytywną. Całkowita dyskrecja, jaką gwarantował, brak pisemnych zobowiązań i praktyczna niemożliwość udowodnienia klientowi tego, że poprosił o usunięcie kogoś z rodziny, zawsze w końcu wszystkich przekonywały. Całe ryzyko brał na siebie on — Roger Holl. Inna sprawa, że klienci nie mieli nigdy zupełnej pewności, czy niespodziewanie rychły, naturalny — według świadectwa lekarza — zgon, nie był przypadkiem. Bywały kłopoty z egzekwowaniem honorariów — zawsze jednak, korzystając ze swoich umiejętności, potrafił skłonić klientów do płacenia. Strach był czynnikiem decydującym.

Młody, najwyżej dwudziestoosmioletni mężczyzna, który wszedł do jego biura, także wyglądał na przestraszonego. Przywitał się krótko i usiadł na jednym ze stojących przed biurkiem foteli, starając się zachować spokój. Założył nogę na nogę, nie pytając o pozwolenie zapalił papierosa. Holl skrzywił się lekko, czekał jednak bez słowa.

— No więc, panie Holl — zaczął klient — jestem skłonny przyjąć pańską ofertę. — Ile to potrwa?

Holl skinął lekko głową.

— Około dwóch tygodni, jak sędzę — powiedział.

— Jeszcze jedno — zająknął się młody człowiek. — Na...

honorarium musiałby pan poczekać, aż zostaną uregulowane sprawy formalne i przejmę... rozumie pan. To potrwa kilka tygodni. Holl zastanowił się krótko.

— Dobrze — powiedział — zapłaci pan dwadzieścia tysięcy funtów.

— Rozumiem — odpowiedział klient. — Zgadzam się.

Holl odchylił się lekko w krześle.

— Pozostały już tylko szczegóły — powiedział. — To znaczy — poprawił się — panu pozostały już tylko szczegóły, mnie nieco więcej. — Otworzył notes i poprosił o informacje.

## Rozdział IV

Pamela Jones i Jack Lemon siedzieli przy małym stoliku w mieszkaniu Lemona i przeglądali przyniesione przez niego wycinki.

— Posłuchaj — tłumaczył Pameli. — Załóżmy, tak jak chciałaś, że państwo Beynam postanowili dopomóc losowi i skrócić życie ciotki. Co robią? Jeżeli nie byli zupełnie zdesperowani — a możemy przypuszczać, że nie — na pewno nie chcieli zrobić tego osobiście.

— Jasne — przytaknęła Pamela.

— Musieli komuś to zlecić — kontynuował Lemon.

Pamela skinęła głową.

— Ludzi, którzy mogliby wykonać takie zadanie, nie bierze się prosto z ulicy.

— Oczywiście.

— Musi to być swego rodzaju fachowiec czy też fachowcy, którzy w ten sposób zarabiają na życie. Jeżeli tak, to istnieje jakiś sposób, żeby do nich dotrzeć, prawda?

— Jasne — ożywiła się Pamela — musimy spróbować...

— Zaraz, powoli — ostudził ją Lemon. — Przecież na razie w ogóle nie wiemy, czy to było morderstwo. Opieramy się na bardzo nikłych przesłankach, głównie zresztą na przecuciu, a nie na logice.

— Jak to? — zaprotestowała Pamela. — A ten człowiek, a mąż siostrzenicy?

— Dwa zdania zdenerwowanego faceta i opowieść staruszki — skwitował Lemon. — Zrobimy inaczej. Najpierw spróbujemy uzyskać potwierdzenie naszych podejrzeń, że ktoś pani Mary „dopomógł” umrzeć, a dopiero później — jeśli nam się uda — poszukamy sprawcy.

— Ale jak? — zapytała zniechęcona nieco Pamela.

— Nie rozumiesz? Jeśli ten człowiek czy ci ludzie z tego żyją, to muszą takie operacje powtarzać! Muszą mieć jakąś metodę, która daje gwarancję powodzenia i pozory naturalności. O ile oczywiście — przypomniał — nasze pomysły nie są czystą fantazją.

— Jestem pewna, że nie — uparcie powtórzyła Pamela.

— Załóżmy. No więc — Lemon ożywił się coraz bardziej — wątpię, żeby mieli kilka metod. To, że mają jedną, tak doskonałą, że wszyscy normalni — czyli poza tobą i mną — ludzie nic nie podejrzewają, graniczy z cudem. Muszą więc za każdym razem postępować mniej więcej tak samo.

— To możliwe — zgodziła się Pamela.

— Właśnie — ciągnął Lemon — musimy to sprawdzić. — Jeżeli niespodziewanie, przy umiarkowanej temperaturze, bez skoków ciśnienia, burz i tak dalej, natychmiast po dziwnej rozmowie w parku umiera pani Mary — to oczywiście może być przypadek. Ale jeśli takie przypadki się mnożą, jeśli wykazują zbyt wiele podobieństw — to nasze podejrzania stają się uzasadnione, prawda?

— Geniusz mruknęła Pamela.  
— Zapoznany, niestety — dodał Lemon.  
— Co robimy? — zapytała.  
— Piszę reportaż o spadkach — zakomunikował Lemon. —  
Ostatnie chwile, sposób przekazywania wiadomości o schedzie,  
smutek i radość obdarowanych. Może być?  
— Czemu nie? — zgodziła się Pamela.  
— Do zbadania jest dziewiętnaście przypadków. Tyle mogę  
zrobić dla ciebie i pani Mary. Zresztą, jeśli nawet nasze podej-  
rzenia się nie potwierdzą, myślę, że da się coś o tym napisać.  
— Na pewno! — zachęciła go szybko Pamela.  
— Kochanie — mruknął Lemon — obluda jest straszną wa-  
dą!  
— Tak, panie — Pamela złożyła ręce na piersiach i skłoniła  
się jak Japonka.  
— Hm... — Lemon uśmiechnął się zadowolony. — Tak o  
wiele lepiej.  
— Chciałbyś, domowy tyranie... — rozwiła jego nadzieje  
Pamela i położyła się na tapczanie.  
— Siłą wymuszę twoje posłuszeństwo — zagroził Lemon i  
podszedł do niej.  
— Zasłoń przedtem okna, imperatorze...  
— Słusznie — mruknął Lemon, zdejmując po drodze mary-  
narkę.

Jack Lemon był człowiekiem wygodnym. Ludzie złośliwi  
oraz szefowie wytykali mu czasem nawet lenistwo. Poszukiwał  
zwykle dobrych, w dostatecznej mierze sensacyjnych i intere-  
sujących tematów, lecz jednocześnie takich, których opraco-  
wanie i opisanie wymagało jak najmniej czynności pomocni-  
czych. Jeżeli trafiała mu się sprawa wymagająca ślęczenia w  
archiwum i bibliotekach, rozmów z dziesiątkami ludzi i innych

działań nie zostawiających czasu na spokojną lekturę ogłoszeń „Timesa”, szklanek piwa i inne drobne przyjemności, chętnie odstępował ją komuś z redakcyjnych kolegów. Sam lubił tematy „szybkie”, w których zdobywał rozeznanie dwiema rozmowami, kilkoma telefonami i — w ostateczności — lekturą prasowych wycinków. Dlatego też jego szef zdziwił się nieco, kiedy Lemon przedstawił pomysł reportażu wymagającego co najmniej dziewiętnastu wizyt.

— Coś ci dolega? — zatroszczył się ironicznie. — Brak ci kontaktu z ludźmi?

— Brak mi gotówki — zareplikował Lemon. — A to będzie bardzo drogi reportaż.

— Doprowadzi gazetę do ruiny — domyślił się szef.

— Jeśli się uda, zwiększy nam nakład co najmniej o pięćdziesiąt tysięcy — oświadczył Lemon.

— Zartowniś... — mruknął szef. — Idź i pracuj, a widmo głodowej śmierci niech będzie dla ciebie bodźcem — powiedział dobrotliwie.

— Jest pan zbyt wielkoduszny, nie dałby mi pan umrzeć z głodu — zapewnił go Lemon i wyszedł z redakcji.

Wsiadł do zaparkowanego nieopodal redakcji samochodu, wyjął papierosa i zapalił go powoli. Będę się z tym grzebał tydzień — pomyślał — połowa ludzi nie wpuści mnie do domu, druga połowa będzie mi godzinami opowiadać o cnotach zmarłych. W efekcie będę mógł napisać, że ludzie umierają i — od czasu do czasu — zostawiają innym dużo pieniędzy. A szef to przeczyta i mnie zastrzeli. I będzie miał rację. Chyba zwariowałem — podsumował swoje rozważania i powoli wrzucił pierwszy bieg. Wszystko przez te baby — mruknął do siebie, puszczając sprzęgło.

„Wszystko” rzeczywiście szło opornie. Notatki prasowe zawierały zwykle adresy, ale tylko osób zmarłych, a nie spadkobierców. Ponadto zmarli rozrzuconi byli po różnych dzielnicach

Londynu. Lemon już wczoraj ustalił kolejność, w jakiej chciał odwiedzić wybrane osoby, ale kierował się datami śmierci spadkodawczyń, a nie czasochłonnością przejazdów. Teraz, przystając raz po raz na czerwonych światłach, grzęznąąc w korkach, przeklinał samego siebie.

Ostatni z wybranych wypadków wydarzył się zaledwie trzy tygodnie przed śmiercią pani Mary. Pod wskazanym adresem Lemon zobaczył okazały, piętrowy dom otoczony girlandą rusztowań, na których pracowało kilku murarzy.

Spadkobiercy pani Brokeston szaleją — mruknął do siebie i uważając, by lecące od czasu do czasu z góry grudki zaprawy nie spadły na niego, przemknął się do drzwi wejściowych. Długo naciskał dzwonek, zanim usłyszał odgłos powolnych kroków. Po chwili drzwi skrzypnęły lekko i w niewielkiej szparze ukazała się twarz starszej kobiety. Lemon uklonił się szybko.

— Jestem z „Evening Standard”. Chciałbym porozmawiać z panią o pani Brokeston.

— Pan z gazety? A o co panu chodzi?

— Chciałem napisać o pani Brokeston — wyjaśnił Lemon. — O jej ostatnich chwilach, o spadku i tak dalej.

— Hm... — zdziwiła się starsza pani. — Ja tylko doglądam domu, państwo wrócą po remoncie.

— A pracowała pani u pani Brokeston?

— Ba! — uśmiechnęła się. — Prawie piętnaście lat!

Lemon wyciągnął legitymację prasową, otworzył ją i pokazał kobiecie z bliska.

— Może jednak moglibyśmy zamienić parę słów? — zapytał. — Chciałem rozmawiać właśnie z panią.

— Hm... — zastanowiła się służąca. Wyjęła Lemonowi legitymację z ręki, przeczytała powoli, poprawiając okulary, po czym — nie oddając legitymacji — uchyliła szerzej drzwi.

— Proszę, niech pan wejdzie — powiedziała. — Ale tu już

był jeden dziennikarz i nic z tego dobrego nie wyszło — dodała.

— Tak? — zaciekawiał się Lemon. — Kiedy?

— At, co tam mówić — machnęła ręką i pokazała mu drogę do niewielkiej słuźbówki usytuowanej za kuchnią. — Niech pan siądzie — wskazała fotel pamiętający chyba narodziny królowej Wiktorii.

Lemon usiadł ostrożnie i rozejrzał się. Większość pomieszczenia zajmował stary kredens zastawiony porcelanowymi figurkami i rozmaitymi bibelotami, które starsza pani zbierała chyba przez całe życie. Oprócz tego stał tylko fotel, taki sam jak ten, który zajmował Lemon, i staroświeckie łóżko, robione najwyraźniej na zamówienie. W rogu stał na niskim rzeźbionym stolczku jedyny w tym pokoju przedmiot wyprodukowany w ostatnim pięćdziesięcioleciu — niewielki przenośny telewizor. Ściany pokrywały oprawione obrazki i fotografie.

Lemon siedział prosto, skazując swój kręgosłup na niczym niezaskuszone katusze i bał się głębiej odetchnąć, żeby setki bibelotów nie zwały mu się na głowę. Starsza pani czuła się tu jak złota rybka w akwarium. Podreptała do drugiego fotela — cały czas z legitymacją Lemona w rękę — usiadła i spojrziała na niego uważnie. W jej wzroku kryły się jeszcze resztki podejrzliwości, ale przeważała ciekawość.

— Co pan chce pisać o pani Brokeston? — zapytała.

— Do końca jeszcze nie wiem — szczerze przyznał Lemon. — Piszę o ludziach poprzedniej epoki, o ich staroświeckich upodobaniach, zwyczajach. Chcę też opisać, jak umierają — po to, by pokazać różnicę między ich światem a dzisiejszym — starał się mówić przekonywająco. — I dlatego pani pomoc byłaby dla mnie niezwykle cenna...

— Och, minione czasy... — uśmiechnęła się słuźąca. — To ładnie, że pan się tym interesuje.

— Chciałbym na przykład - wtrącił szybko Lemon — żeby

opowiedziała mi pani ostatnich chwilach pani Brokeston. To był atak serca, prawda?

— Tak, tak powiedział lekarz. Wie pan, nie było w tym nic niezwykłego. Lekarz mówił jej, że musi się oszczędzać, że nie może chodzić po schodach i tak dalej. Dlatego pani Brokeston prawie nie wychodziła z domu. Kiedy po mnie zadzwoniła, byłam jeszcze w przedpokoju, na dole. Poszłam na górę. Jak weszłam do pokoju, to z nią już było całkiem niedobrze. Nic nie mówiła, bełkotała tylko i miała szeroko otwarte oczy. Podbiegłam do niej, próbowałam jakoś pomóc, otworzyłam okno, skropiłam wodą — myślałam, że może to zasłabnięcie — ale nic nie pomogło. Zadzwoniłam szybko po doktora Warrena, ale zanim przyszedł, już było po wszystkim — starsza pani wytarła szybko oczy chusteczką.

— Co powiedział doktor? — zapytał Lemon.

— Powiedział, że to atak serca. I że nic nie mogłam zrobić...

— Spodziewał się tego, czy był raczej zaskoczony? — zaryzykował.

— Wszyscy byli zaskoczeni. Doktor Warren był trzy dni wcześniej i chwalił panią Brokeston, że tak o siebie dba. Ale z drugiej strony — sam mówił, że wystarczy byle co i... Tamtego dnia pytał mnie, czy czymś się zdenerwowała albo przestraszyła. A przecież pani Brokeston zrezygnowała nawet z telewizji, żeby mieć spokój. Czasem tylko słuchała muzyki w radiu, ale jak miał być dziennik, zaraz wyłączała.

— To rzeczywiście dziwne... — przytaknął Lemon. — A ten dom? — zapytał — do kogo należy?

— Wszystko dostał bratanek pani Brokeston, Peter Brokeston. Och, o mnie też starsza pani nie zapomniała — dodała. — Dzięki niej nie będę musiała już pracować. Zgodziłam się tu zostać tylko do końca remontu domu.

— Nie przepada pani za Peterem Brokestonem? — domyślił się Lemon.



— Proszę pana — starsza pani spojrzała na niego uważnie — to już chyba nie ma nic wspólnego z panią Brokeston?

— Oczywiście, przepraszam. Ma pani rację — Lemon przesłał jej najpromienniejszy ze swoich uśmiechów.

Starsza pani mimo to patrzyła na niego chłodno i nie dawała się rozbroić.

— Te figurki zbiera pani chyba od bardzo dawna? — Lemon wskazał na zastawiony kredens. — Nie widziałem jeszcze tak pięknego zbioru.

Trafienie było celna. Starsza pani najwyraźniej odczuwała niedobór widzów tej kolekcji, więc spojrzała na Lemona przychylniej.

— Och, moich zbiorów jest tu niewiele — powiedziała skromnie. — Prawie wszystko zapisała mi pani Brokeston.

— Też lubiła porcelanę? — zainteresował się obłudnie.

— O tak, kochała się w niej. Godzinami oglądała te caczuszka. Panu Peterowi zapisała tylko kilkadziesiąt — dodała z satysfakcją. — Mówiła, że on nie umie ich docenić. Zapisała mu serwisy i inne rzeczy, ale figurki mnie. Pani Brokeston była znana wśród zbieraczy porcelany. Wielu ludzi chciało choćby obejrzyć jej zbiory.

— Na pewno. Figurki są piękne — starał się podtrzymać dobry nastrój Lemon.

— O, tak...

Lemon próbował jeszcze powracać do tematu spadkobiercy okrężnymi drogami, ale starsza pani była nieugięta. Chętnie i długo mówiła tylko o porcelanie, a kiedy próbował przejść do sprawy spadku, nabierała wody w usta. Lemon nie wątpił, że służąca nie darzy bratanka swojej byłej chlebodawczyni wielką sympatią, nie potrafił jednak zmusić jej do zdradzenia jednej bodaj przyczyny niechęci. Nie dowiedział się także niczego nowego o okolicznościach śmierci pani Brokeston. Służąca widziała, że tamta chciała coś powiedzieć, lecz była już za słaba

i nie wyartykułowała ani jednego zrozumiałego słowa.

Lemon siedział tu już przeszło godzinę i zaczynał tracić nadzieję, że dowie się czegoś więcej. Przypomnił sobie jeszcze o dziennikarzu, który rozmawiał z panią Brokeston. Może od niego dowie się czegoś więcej? A może... w jego umyśle pojawiło się niejasne podejrzenie.

— Czy mogłaby mi pani powiedzieć, z jakiej gazety był ten dziennikarz, o którym pani wcześniej wspomniała? — zapytał. — Nie pamięta pani, jak się nazywał? Chciałbym się z nim skontaktować, on rozmawiał z panią Brokeston osobiście, może mógłby też coś dorzucić. Rozumie pani, jako kolega po fachu na pewno poczynił wiele obserwacji....

Tym razem służąca ze zrozumieniem skinęła głową.

— Nazwisko... — zastanawiała się — wie pan, obawiam się... to było tak dawno... Przedstawiał się, pamiętam, zapowiadałam go pani Brokeston, ale jak się nazywał... całkiem uleciało mi z głowy.

— Az jakiej był gazety? — dopytywał się Lemon.

— Gazety? — zastanawiała się znowu. — Boję się, że nie powiedział. Mówił tylko, jak się nazywa, że jest dziennikarzem i że chciałby porozmawiać z panią Brokeston o jej zbiorach porcelany.

Dziwne — pomyślał Lemon — dziennikarz nie wykrzykujący głośno, jaką redakcję reprezentuje... coś nowego...

— A kiedy rozmawiał z panią Brokeston?

— Nie mówiłam panu? Tego samego dnia, kiedy... wie pan... Przyszedł tak przed piątą, rozmawiał z panią przeszło godzinę. Wypytywał o wszystko, a ja miałam dużo roboty, bo pani Brokeston chciała mu pokazać całą kolekcję. Lubiała, biedaczka, kiedy ludzie chwalili jej porcelanę... Później podałam herbatę i już mnie nie wzywała, aż dopiero wtedy, kiedy ten dziennikarz wychodził — było już dobrze po szóstej.

— I jak się wtedy czuła? — zapytał Lemon.

— Och, chyba dobrze. Słyszałam, jak żartowała, pytała tego dziennikarza, czy nie ma dosyć porcelany do końca życia... Potem pożegnała się z nim, a ja poszłam po kapelusz i parasol. I właśnie kiedy zamykałam za nim drzwi, usłyszałam, że dzwoni i... wie pan...

— Tak, pamiętam. Niech mi pani powie, jak wyglądał ten dziennikarz? Przepraszam, że panią tak wypytuję, ale znam wielu dziennikarzy, więc może w ten sposób go rozpoznam. Pamięta pani?

— Hmm — zamyśliła się. — Był wysoki, szczupły — takiego mniej więcej wzrostu, jak pan. Miał chyba około trzydziestki, może trochę więcej.

— A włosy? — zapytał Lemon. — Długie, krótkie, ciemne, jasne?

— Raczej krótkie... tak, na pewno krótkie. Ciemne, krótkie włosy. I był blady. — Lemon omal nie podskoczył na krześle. — Pamiętam — dodała służąca — bo nawet pomyślałam, że pani Brokeston porządnie go musiała wymęczyć.

— Pamięta pani coś jeszcze? — zapytał Lemon.

— Nie, chyba nie... Aha, miał ciemny, chyba granatowy garnitur. Przypomina panu kogoś?

— Co...? A tak, kogoś mi przypomina — powiedział Lemon — ale nie jestem pewien. Nie pamięta pani, czy miał takie bardzo jasne, niebieskie oczy?

— Oczy... Nie, wie pan, nie zwróciłam uwagi...

— I niczego więcej już sobie pani nie przypomina?

— I tak się dziwię, że tyle pamiętam. To było przecież dość dawno...

— Oczywiście. Ma pani doskonałą pamięć — skomplementował ją szczerze Lemon. — Bardzo, naprawdę bardzo pani dziękuję. — Pożegnał się i wyszedł na ulicę. Zaczynał właśnie śiąć nieprzyjemny, zacinający deszcz, nie popsuł jednak Lemonowi humoru.

Dziennikarz, który ukrywa tytuł własnej gazety... — pomyślał otwierając samochód. — Ha, już to widzę. A staruszkę tuż

po jego wyjściu znajdują umierającą. Kolega po fachu, psia-krew! Zapaścił silnik i ruszył ostrym zrywem. Miał jeszcze w planie osiemnaście wizyt.

## Rozdział V

Państwo Beynam kończyli lunch. Philip Beynam otarł serwetką usta, poczekał, aż służąca zbierze ze stołu naczynia, i mruknął:

— Nie mogę sobie darować, że ta smarkata zagarnęła połowę naszych pieniędzy.

— Ciotka miała swoje dziwactwa — odpowiedziała mu żona. — Zawsze musiała być najmądrzejsza i nigdy nikogo nie słuchała. Ta Jones przychodziła tam ciągle, przytakiwała jej we wszystkim i w końcu dopięła swego.

— Wyszliśmy na idiotów — mruknął Beynam. — My się staramy, ryzykujemy i dostajemy tyle, co jakaś tam Jones, która nie ruszyła nawet palcem w bucie. Kim ona w ogóle jest? Córka jakiejś znajomej ciotki, tak?

— Tak, jej wielkiej przyjaciółki jeszcze ze szkoły. Starej Jones też pewnie chodziło o pieniądze, ale umarła, zanim się ich doczekała. Była wdową po jakimś majorze czy coś takiego.

— Słuchaj — zapalił się nagle Beynam — nie uważasz, że twoja ciotka mogła być nieźrównoważona?

— Mogła — powiedziała z namysłem — ale jak tego dowiedziesz?

— Trzeba przytoczyć przykłady jakichś jej dziwactw z przeszłości, później przedstawić z odpowiednią interpretacją, jak ta Jones ją odwiedza, przymila się, usidla, oczernia nas w jej oczach. Dałoby się?

— Może by się dało — odpowiedziała wolno jego żona — tylko trudno byłoby o świadków...

— Świadków się znajdzie — machnął ręką Philip — chociażby ta gospodyni ciotki.

— Nie, ona mnie nie znosi, a lubi tę wydrę — mruknęła. — Tak samo jak sąsiadka. Obie wiecznie wścibiały nos w nie swoje sprawy i pokazałam im parę razy, gdzie jest ich miejsce. Nienawidzą mnie od tego czasu.

— Nie szkodzi — wtrącił Beynam. — Wystarczy, że będą musiały potwierdzić, że ciotka robiła różne bzdury. Trochę się tego doda, a kiedy większość potwierdzą, wtedy zasugeruje się, że Jones wsunęła im coś do kieszeni i będzie dobrze.

— Jest jeszcze ten lekarz — przypomniała mu żona. — Leczył ciotkę od dziesięciu lat. Jego głos byłby chyba decydujący...

— Znasz go?

— Widziałam go raptem dwa razy. Nie wiem... można by z nim porozmawiać, ale boję się, że nie będzie chciał pomóc. Wiesz, służąca i sąsiadki znały go lepiej. Mogły mu czegoś o mnie naopowiadać.

— Tak... — zaszepczał Beynam. — Nie wygląda to najlepiej.

— W dodatku tak bez sensu wskoczyłaś na nią u adwokata. Przy wszystkich. Zupełnie przestałaś panować nad sobą.

— Och, musiałem smarkatej powiedzieć parę słów. Udawała taką zdziwioną... — mruknęła.

— Parę słów! Gdybym cię nie powstrzymała, wygadałbyś jej wszystko. Znam cię. Już miałeś na końcu języka to, że spadek ma tylko dzięki nam.

— Nie przesadzaj... — bez przekonania zaprotestował Beynam.

— Już ja wiem, co mówię — nie ustępowała.

— Och, jeśli nawet, to co? Co nam mogą udowodnić? Wszystko było tak jak trzeba. Ten Holl jest rzeczywiście niesamowity. Nie wiem, jak on to zrobił, ale zrobił, tego jestem pewien.

Pieniądze dostał w gotówce — żadnych podpisów, kwitów, czeków. Wszystko bez śladu.

— Tak, ale zrobilibyś sensację. Zaczęliby grzebać w tym wszystkim, jeszcze opóźniłoby to wypłatę spadku — po co?

— Masz rację, poniosło mnie — przyznał w końcu. Z kieszeni kamizelki wyjął krótkie, grube cygareto, nożykiem obciął końcówkę i zapalił.

— Och, te twoje cygareto — skrzywiła się pani domu, rozganiając ręką docierające do niej kłęby dymu. — Słuchaj — ożywiła się nagle — tak czy tak, gdybyśmy próbowali obalić testament, narobiłoby to pannie Jones dużo kłopotów. Wstrzymaliby wypłatę pieniędzy, musiałaby szukać prawnika, procesować się, bronić i tak dalej, prawda?

— Jasne, ale co z tego?

— To byłoby dla niej bardzo nieprzyjemne, pewnie wolałaby tego uniknąć...

— Aha... — zrozumiał Beynam. — Ale przecież ona nie odda pieniędzy dobrowolnie — zreflektował się.

— Wszystkich oczywiście nie... ale część?

— Hm... jak myślisz, ile?

— No, powiedzmy połowę — to będzie trzydzieści siedem tysięcy — zaproponowała.

— Co najmniej połowę — uściślił Beynam. — Albo okrągłe czterdzieści tysięcy. Można by zresztą zacząć od pięćdziesięciu. W końcu zostanie jej wtedy jeszcze dwadzieścia pięć. Niezła suma, którą dostaje za darmo, bez żadnych kosztów. Trzeba z nią porozmawiać.

— Lepiej, jeżeli ja to zrobię — powiedziała Kate Beynam. — Ty zacząłbyś na nią krzyczeć, pokłócilibyście się i na tym by się skończyło. Ja sama do niej zadzwonię.

— Chcesz to zrobić przez telefon? — zdziwił się Beynam.

— Skąd, głuptasie. Muszę się z nią jakoś umówić na spotkanie,

prawda? Nie będę przecież w tym celu wysyłać ozdobnej depe-  
szy...

— Dobrze, dobrze — przytaknął niechętnie. — Masz jej nu-  
mer?

— Nie, ale adwokat ciotki ma. Zaraz do niego zadzwonię.

Pamela Jones siedziała na podłodze w kuchni mieszkania  
Lemona i przesadzała kaktusy. Były to jodynę rośliny, które  
wytrzymały twarde warunki, jakie dyktował Jack — nie-  
ustanna zawiesina dymu papierosowego, podlewanie najwyżej  
raz na tydzień i całe życie w jednej doniczce. Ostatnio jednak  
nawet one zaczęły wątpić w sens takiej egzystencji, co objawia-  
ło się w czerwienieniu, żółknięciu i smutnym opadaniu kolców.

— Biedaczyska — przemawiała właśnie do nich Pamela —  
ten potwór zamęczyłby was na śmierć. Nie martwcie się, zaraz  
coś wymyślimy. — Ponieważ w całym mieszkaniu nie było  
oczywiście żadnej doniczki, Pamela przymierzała, co dodała —  
puszki po kawie, plastikowe pudełka, aż wreszcie zadowolona  
przystąpiła do wyciągania roślin ze starych doniczek.

— To dyby, nie doniczki — mruknęła współczująco, starając  
się nie połamać przywiędłych kaktusów, a jednocześnie nie  
pokłuć rąk. Kiedy upychała już trzecią roślinę w nowym po-  
jemniku, zadzwonił telefon.

— Pani Jones? — zapytał chłodny, kobiecy głos.

— Tak, słucham.

— Mówi Kate Beynam. Trudno było panią odnaleźć, nie  
wiedziałam, że pani nie mieszka u siebie — zaczęła złośliwie  
siostrzenica pani Mary Calgaret.

— Mieszkam u siebie — powiedziała Pamela.

— No, to już pani Sprawy, ja w nie nie wnikam — stwierdzi-  
ła Beynam — Sądzę, że pani domyśla się, w jakiej sprawie  
dzwonię?

— Nie — Pamela zdziwiła się lekko — niestety, nie.

— O tych sprawach trudno mówić przez telefon ciągnęła dalej Kate Beynam — dlatego chciałabym, żebyśmy mogły się spotkać osobiście.

— Nie wiem, o jakich sprawach pani mówi — powiedziała spokojnie Pamela.

— Kochanie, nie oszukujmy się. Chodzi o spadek, oczywiście. Mamy dla pani pewną propozycję.

— Propozycję? — zdziwiła się znowu Pamela. — Nie rozumiem.

— Wie pani, że niewykluczona jest sprawa o unieważnienie testamentu? Wolelibyśmy uniknąć rozgłosu i tych licznych kłopotów, więc uznaliśmy, że lepiej, zwłaszcza dla pani, byłoby porozumieć się.

— Kto chciałby, obalić testament? — zapytała Pamela.

— Niech pani nie będzie dzieckiem — zaśmiała się krótko Kate Beynam. — Ten, kto został pokrzywdzony, oczywiście.

— Pani została pokrzywdzona? — zapytała Pamela ironicznie.

— Nie będziemy o tym rozmawiać przez telefon — ucięła Beynam. — Sądziłam, że nie pragnie pani skandalu, zwłaszcza że byłby przykry głównie dla pani — w jej głosie zabrzmiały twardsze tony. — Może odwiedziłaby nas pani, powiedzmy, jutro?

Pamela zastanawiała się chwilę.

— Chyba lepiej — powiedziała — żebyśmy spotkali się na hm... neutralnym gruncie. Może zjemy razem lunch? — zaproponowała.

— Ależ pani Pamela — głos Kate Beynam wyraził zdziwienie zmieszane z pobłażaniem — chce pani o takich sprawach rozmawiać w restauracji, przy tyłu ludziach? Niech pani przyjdzie do nas. Zna pani adres?

— Nie — powiedziała niechętnie Pamela.

Kate Beynam szybko podała swój adres.



— Jutro, koło siedemnastej, dobrze? Niech się pani nie boi, nie jesteśmy ludożercami dodała.

— Nie jestem tego taka pewna — powiedziała już do siebie Pamela, odkładając słuchawkę. Wróciła do kuchni i usiadła na podłodze. — No i widzicie — już wszyscy jesteśmy w takim samym nastroju — powiedziała do przywiedłych kaktusów.

Jack Lemon coraz bardziej tracił humor. Całe szczęście — pomyślał — że zacząłem od przypadku pani Brokeston, inaczej dałbym chyba sobie z tym spokój. Druga i trzecia wizyta polegała na długim dojeździe, pracochłonnym odnajdywaniu adresów i bezskutecznym dobijaniu się do drzwi. Pod czwartym adresem Lemon zastał zasuszonego staruszka, głuchego jak pień, który nie chciał otworzyć drzwi, a przez szparę wykrzykiwał tylko: „He, he, nie jestem głupi, nie będę się ubezpieczał!” Tłumaczenia Lemona nie docierały do niego, powtarzał tylko w kółko: „Przecież mówiłem, że nie będę się ubezpieczał!”, dodając przy tym za każdym razem parę decybeli, tak że o swoim stosunku do ubezpieczeń poinformował co najmniej pół dzielnicy. Po paru minutach Lemon zrezygnował i wsiadł szybko do samochodu. Zasłonił sobie dłońmi uszy. Ludzie powinni być ubezpieczeni od głosu tego dziadka — pomyślał.

Sąsiedzi jednak — wbrew obawom Lemona — nie wyglądali przez okna, widać byli przyzwyczajeni do wzmacniacza, jaki nosił w sobie staruszek.

Lemon, zachwycony ciszą w samochodzie, oparł głowę na podgłówek i zapalił wolno papierosa. Miał za sobą przeszło trzy godziny poszukiwań. Jeszcze jedna wizyta — pomyślał — i wracam do domu.

Najbliżej był dom przy Tooley Street. Należał do pani Betty Craftword, oczywiście przed jej śmiercią. Zmarła trzy miesiące

temu na atak serca. Miała pięćdziesiąt osiem lat. Zostawiła niemal równe sto tysięcy.

Kiedy Lemon dotarł pod ten adres, zmeł w ustach przekleństwo. Na drzwiach wisiała kartka: „Na sprzedaż”. W ten sposób daleko nie zajdziemy — pomyślał i z determinacją ruszył do sąsiedniego domu. Drzwi otworzyła mu młoda, dwudziestoparoletnia kobieta. Lemon zdobył się resztką woli na uśmiech pod tytułem „młody mężczyzna budzący zaufanie” i powtórzył swoją bajeczkę o minionych czasach, reliktach belle epoque i tak dalej. Mimo wszystkich wysiłków wypadł mało przekonująco. Dziewczyna patrzyła na niego spokojnie, z leciutko zmarszczonymi brwiami. Miała piękne, piwne oczy i ciemne, krótko obcięte włosy.” Ubrana była w prostą, jasną sukienkę odsłaniającą od kolan zgrabne, opalone na jasnobrązowy kolor nogi.

— Nie wierzy mi pani? - zapytał Lemon.

— Gdyby pan mówił prawdę, uwierzyłabym panu — powiedziała spokojnie.

— Dlaczego nie? — powiedział Lemon zniechęcony. — Ale znała pani przynajmniej swoją sąsiadkę?

— Owszem. Nawet bardzo dobrze — odpowiedziała.

— Proszę pani — zaczął zdesperowany Lemon — rzeczywiście jestem dziennikarzem, pracuję w „Evening Standard”. To moja legitymacja — podał jej dokument. — Chcę się dowiedzieć jak najdokładniej o śmierci pani Crafword, ale nie mogę powiedzieć dlaczego. Mam pewną hipotezę, próbuję ją udowodnić. To wszystko.

Dziewczyna obejrzała dokładnie legitymację Lemona, zwróciła mu ją i powiedziała:

— Czy ta bezradność to chwyt zawodowy? Jeżeli tak, to do bry. Proszę — uchyliła szerzej drzwi.

— Do dziś była to tylko moja indolencja — mruknął Lemon wchodząc — ale od jutra będzie to mój najsprytniejszy chwyt.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko i poprowadziła go do

salonu. Idąc za nią Lemon upewnił się w ocenie jej nóg i stwierdził, że wszystko wyżej także jest bez narzutu.

— Niech pan usiądzie — dziewczyna wyrwała go z rozmyślań.

Usiadł w wielkim fotelu, a ona zajęła miejsce naprzeciw niego.

— Może pan zapalić — powiedziała. — Lubię zapach dymu.

Lemon wyjął posłusznie papierosa i zapalił.

— Czy wie pani coś o śmierci pani Craftword? — zdobył się na pytanie.

— Byłam przy tym — między jej brwiami pojawiła się małeńka, pionowa zmarszczka, co tylko dodało jej uroku. — To było kilka miesięcy temu — dodała.

— Trzy — odpowiedział Lemon.

— Tak, trzy — zgodziła się. — Pani Craftword umarła szybko — powiedziała. — Było to po południu, chyba między czwartą a piątą.

— Kto po niej dziedziczy? — zapytał Lemon.

— Mój mąż — odpowiedziała dziewczyna.

Lemon osłupiał.

— Czy... był przy śmierci pani Craftword? — wyjąkał, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

— Nie, mój mąż przedkłada wyścigi nad rodzinę — stwierdziła chłodno. — Zresztą w tym wypadku nie ma to znaczenia. Ciotka męża — pani Craftword — zmarła nagle i zupełnie niespodziewanie.

— Czy był przy niej jeszcze ktoś, prócz pani? — zapytał Lemon.

— Nie... a właściwie tak. Był mechanik, naprawiał telewizor. Lemon odetchnął głęboko.

— Czy to była poważna awaria? — zapytał.

— Mówi pan o telewizorze? — zdziwiła się dziewczyna. — Nie, jakiś drobiazg. Od kilku tygodni ciotce ciągle psuł się telewizor, a wszelkie naprawy pomagały na jeden, dwa dni.

Wreszcie mój mąż w przypiływie rodzinnych uczuć znalazł jakiegoś mechanika, który podobno jest artystą w swoim zawodzie. Właśnie wtedy, kiedy naprawiał telewizor... to nawet on zauważył, że coś jest z ciotką nie w porządku.

— Bardzo proszę — powiedział poważnie Lemon — niech mi pani opowie o wszystkim ze szczegółami, jak najdokładniej, co robił ten mechanik.

Brwi dziewczyny uniosły się o parę milimetrów w górę.

— Pan jest chyba entuzjastą elektroniki — zauważyła — ale jeśli pan chce, proszę bardzo. Sama wpuściłam go do domu ciotki — jej służąca wyjechała do swojej rodziny — i zaprowadziłam na górę. Telewizor — zauważyła z leciutką ironią — był niemy i ślepy. Mechanik uklonił się ciotce...

— Przepraszam — przerwał Lemon — jak wyglądał ten mechanik?

— Znowu mechanik — uśmiechnęła się — miał ciemne włosy... nie wiem, co jeszcze.

— Czy miał bardzo jasne niebieskie oczy? — nie wytrzymał Lemon.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

— Pan istotnie zna się na elektronice, panie Lemon. On chyba rzeczywiście miał bardzo niebieskie, błękitne raczej, oczy.

— Jest pani ósmym cudem świata — uśmiechnął się szeroko Lemon.

Brwi dziewczyny uniosły się znowu.

— Niech mi pani powie, jaką miał cerę — zażądał.

— Pana bardzo interesują detale męskiej urody — zauważyła. — Nie bardzo pamiętam, chwileczkę... — dotknęła palcami do czoła — tak, wydał mi się jakiś taki... bladawy.

Lemon wstał, pocałował ją w rękę i usiadł z powrotem.

— Pana interesują nie tylko mechanicy? — zapytała.

— Nic mnie nie obchodzą mechanicy. Obchodzi mnie ten facet o wodnistych oczach.

— Nie powiedziałabym, że były wodniste — zaprotestowała.

— Raczej... chłodne.

— Niech będzie — zgodził się Lemon. — Niech mi pani powie dokładnie, co robił ten facet o chłodnych oczach.

— Whisky? — zapytała dziewczyna.

— Jeżeli można, wolałbym piwo — powiedział Lemon.

— Obawiam się, że nie mam.

— To poproszę odrobinę whisky. I sporo wody. Jestem samochodem — wyjaśnił.

— Młody, odpowiedzialny reporter — stwierdziła. — Muszą pana cenić w pańskiej gazecie.

— Mój szef jest we mnie po prostu zakochany — zapewnił ją Lemon.

Dziewczyna uśmiechnęła się, podała mu szklaneczkę i usiadła z powrotem na fotelu.

— Tak jak mówiłam — zaczęła — uklonił się ciotce i podszedł do telewizora. Z torby wyjął śrubokręt i odkręcił tylną ściankę. Ca robił w telewizorze, nie wiem, bo zasłaniał. Po chwili coś wyjął, pogrzebał w torbie i wkręcił coś innego. Nie pamiętam, co to było, zresztą i tak się na tym nie znam. Ciotka siedziała tuż obok tyłem do mnie i patrzyła mu na ręce. Powiedziała coś w tym rodzaju, że wszyscy wymieniają to samo, a telewizor ciągle się psuje. Wtedy on uśmiechnął się i poklepał ją po ręku — pamiętam, że zdziwiłam się na tę poufalość — i powiedział, że już nie będzie narzekała, czy coś takiego.

Potem przykręcił wszystko z powrotem i włączył telewizor. Rzeczywiście działał, dobrze. Wtedy... zaraz, tak, to było wtedy, spojrzął na ciotkę, pewnie, żeby go pochwaliła, i zawołał: „Co pani jest?!” czy coś w tym rodzaju.

Podbiegłam i zobaczyłam, że ciotka leży bezwładnie na fotelu, a oczy ma takie... wytrzeszczone, szkliste. Zaczęłam wołać do niej, klepać po policzkach. Kiedy nie reagowała, podałam

temu człowiekowi numer telefonu lekarza, pobiegł na dół zadzwonić. Ja dalej próbowałam ją cucić. Kiedy lekarz przyszedł, było już po wszystkim — dziewczyna westchnęła ciężko — ciotka już nie żyła.

— Tak... — odezwał się wolno Lemon — a co dalej robił ten mechanik?

— Wrócił na górę, był aż do przyjścia lekarza. Szczerze mówiąc nie pamiętam, kiedy wyszedł.

— Czy pamięta pani jego nazwisko, adres albo chociaż telefon?

— Nie, wszystko załatwiał mój mąż. Pytałam go o adres albo telefon, bo nie zdążyłam zapłacić temu mechanikowi. Myślałam, że przyśle rachunek albo coś. Mąż powiedział, że wyrzucił kartkę z jego telefonem, więc wszelki ślad po nim zagaął...

— Hmm — zamyślił się Lemon — czy słyszała pani kiedyś o mechaniku, który nie inkasuje należności?

— Nie, nie słyszałam. Ale to pan zna się na mechanikach.

— Ja też nie słyszałem — powiedział uśmiechając się Lemon i pociągnął łyk whisky.

— Wygląda pan na zadowolonego — stwierdziła dziewczyna.

— Moje hipotezy potwierdzają się — powiedział Lemon.

— W związku z mechanikiem?

— W związku z mechanikiem też. Czy zechciałaby pani odpowiedzieć mi na kilka pytań nieco innej natury, już nie tyle związanych z panią Craftword, ale panią i mężem? — zapytał Lemon.

— Mam się panu wyplakać na ramieniu?

— Coś takiego — potwierdził Lemon.

— Niech pan nie liczy na zbyt wiele — mruknęła.

— Czy... — zawahał się — pani małżeństwo jest zgodne?

— Nie — odpowiedziała krótko.

— Czy pani mąż... był w tarapatkach finansowych?

— Zawsze jest. To znaczy ostatnio nie — ma przecież sto tysięcy funtów — powiedziała. — To znaczy — dziś już o kilkanaście tysięcy mniej, jak przypuszczam. Ja — jeśli to pana interesuje — nie widziałam ani funta z tego spadku. Żyję z własnych pieniędzy.

Lemon popatrzył na nią uważnie. Siedziała wyprostowana, z twarzą zastygłą w surowym, zbolałym wyrazie. Musiało ją wiele kosztować, zanim nauczyła się mówić o własnym małżeństwie tak spokojnie.

— To lepiej, że pani nawet nie widziała tych pieniędzy.

— Panie Lemon — powiedziała patrząc mu prosto w oczy — nie wyjaśnilby mi pan po prostu, o co chodzi?

Lemon zastanowił się chwilę.

— Mąż panią kocha? — zapytał.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Nie sądzę. Szczerze mówiąc myślę, że chciałby tylko mieć mnie od czasu do czasu w łóżku, ale do tego ja nie dopuszczam. Na rozwód nie zgadza się ze względu na moje pieniądze. Może zresztą teraz, kiedy sam jest bogaty, zmieni zdanie... chociaż wątpię.

— Wolalbym nie mówić, o co chodzi — powiedział Lemon.

— Sam zresztą do końca nie wiem. Szczerze mówiąc błędę po omacku, na ślepo szukam rozwiązania. Jednego tylko jestem pewien — i to dzięki pani — że istnieje zagadka, że dzieje się coś brudnego.

— Znowu chwyt pod tytułem: „bezradność i kurtuazja”?

— Znowu moja indolencja.

— Czy pan przypuszcza, panie Lemon, że ciotka nie zmarła śmiercią naturalną? — zapytała z lekkim niedowierzaniem.

— Niech mnie pani nie ciągnie za język — powiedział uśmiechając się Lemon. — Ja przecież tylko robię reportaż o ostatnich ludziach belle epoque.

— Pan zaczyna być cyniczny, panie Lemon — uśmiechnęła

się dziewczyna. — Wolę pana w wydaniu „szczerzy i odpowiedzialny” — dodała.

— To wydanie jest bardzo męczące. Dla rozluźnienia muszę czasem zrobić coś paskudnego.

— Napije się pan jeszcze? — spytała.

— Muszę już jechać — powiedział Lemon.

— Ktoś... czeka? — spytała cicho.

— Niech mnie pani nie ciągnie za język — powtórzył Lemon.

— Przepraszam — dziewczyna podniosła głowę, odrzuciła włosy i uśmiechnęła się niespodziewanie. — Niech pan zmyka, panie Lemon, nie wypada, żeby pani domu przyjmowała tak długo nieznanego mężczyznę.

— Jeżeli kiedyś zgadnę, o co w tym wszystkim chodzi, wpadnę do pani opowiedzieć — powiedział Lemon.

— Akurat. Ale to ładnie, że pan tak mówi — uśmiechnęła się znowu. — No, niech pan ucieka, muszę jeszcze zrobić parę ważnych rzeczy, a pan jest bardzo czasochłonny.

Lemon uśmiechnął się, podał jej rękę i wyszedł. Dziewczyna zamknęła za nim drzwi. Jej uśmiech zniknął natychmiast, kiedy Lemon nie mógł jej już widzieć. Wróciła powoli do salonu, naląła sobie szklankę whisky i długim łykiem wypila prawie połowę.

— Mam cholernie dużo ważnych rzeczy do zrobienia, panie Lemon — mruknęła. — Przede wszystkim muszę pooglądać telewizję.

Pamela Jones z dumą patrzyła na przesadzone kaktusy. Być może było to złudzenie, lecz wydawało jej się, że są jakby mniej zwiędłe, a żółtych plam też jakby ubyło.

— Już mnie tak nie podnoście na duchu — mruknęła do kaktusów i usadowiła się w fotelu włączając telewizor. Kiedy wrócił Lemon, telewizja prezentowała akurat uroki wakacji w Hiszpanii. Lektor zachłystywał się przedstawiając zalety corridy



i hiszpańskich dziewcząt, a na ekranie pojawiała się raz jedno, raz drugie.

— Dziewczyna i byk to już było — zauważył Lemon, wchodząc do pokoju.

— Powtórki są czasem lepsze od premiery — bąknęła Pamela całując go na powitanie. — No i co, panie Kisch? — zapytała. — Będzie rewelacyjny reportaż? — dodała ostrożnie.

— Nie wiem — odpowiedział Lemon. — Jedno jest pewne, że mieliśmy rację. W trzech wypadkach na siedem koło umierających kobiet pętał się najwyraźniej ten sam brunet o bardzo jasnych oczach.

— Naprawdę?! — Pamela podskoczyła do góry. — Ależ to niebywałe! Jack, jesteś genialny.

— Och, zostawmy sprawy oczywiste — powiedział Lemon.

— Ale czy to nie przypadkowe podobieństwo różnych ludzi? — zapytała z niepokojem Pamela.

— Jeżeli może być przypadkiem, że opisywany człowiek był nie tylko ciemnowłosy, nie tylko miał jasnoniebieskie oczy, ale także niezmiennie około trzydziestki, do tego był blady i szczupły, to mogę się zgodzić, ale będzie to dziwny przypadek. Dodaj do tego, że każda z tych kobiet widziała go pierwszy i ostatni — przy okazji — raz w życiu. Jestem więc pewny — ciągnął Lemon — że to nie mógł być przypadek.

— Jasne! — zgodziła się entuzjastycznie Pamela. — Jack, kochanie, trzeba chyba pójść na policję!

— Po co? — zapytał spokojnie Lemon.

— Jak to? — zdziwiła się. — Nie chcesz im powiedzieć o tym człowieku.

— Nie mogę — przerwał jej Lemon. — Nawet jeżeli mnie nie wyśmieją, co jest mało prawdopodobne, to nadal nie będą mieli podstaw do wszczęcia śledztwa. Mają przecież świadectwa lekarskie stwierdzające naturalną przyczynę zgonu, mają zeznania świadków, którzy widzieli, że tym kobietom nikt nie

robił nic złego. Kiedy myślę o dowodach, które mają na poparcie tezy, że wszystko było naturalne, zastanawiam się, jakim cudem oboje myślimy inaczej. Chodzenie na policję można sobie darować — zakończył stanowczo.

— A oprócz tego... — zaczęła cichutko Pamela.

— Cóż?

— Gdybyś sam rozwikłał tę sprawę...

— To co? — groźnie spytał Lemon.

— Zrobiłbyś z tego reportaż, jakiego nie było — zaryzykowała Pamela.

— Pamelo! — obraził się Lemon. — Posądzasz mnie o działanie z niskich pobudek. Jestem oburzony!

— Tym bardziej...

— ...że jest w tym odrobina prawdy — roześmiał się Lemon.

— Ale naprawdę policja by mnie wyśmiała — dodał usprawiedliwiająco.

— Aha! — przypomniała sobie nagle Pamela. — Ja też mam dla ciebie małą rewelację.

— Tak? — zdziwił się Lemon.

— Zadzwoiła dziś do mnie pani Beynam.

— O!

— Zagroziła niemal wprost obaleniem testamentu i zaproponowała — w moim interesie — „polubowne” załatwienie sprawy.

— Jakie?

— Nie wiem. Zaprosiła mnie do siebie na jutro.

— Ostro gra — zauważył Lemon.

— Zgadzam się — powiedziała Pamela. — Uważa siebie za pokrzywdzoną i gotowa jest zrobić wszystko, żeby zdobyć te pieniądze. Chociaż — muszę przyznać — przynajmniej nie wyzywała mnie tak jak jej mąż.

— A ty? — zapytał Lemon.

— Co ja? — nie zrozumiała Pamela. — Och, Jack, też jej nie wyzywałam. Obawiam się tylko, że wykazałam zbyt mało zrozumienia...

—Przypuszczam... — uśmiechnął się Lemon. — Na dobrą sprawę jesteś w zasadzie szantażowana, Pamelko.

—Na to wygląda — zgodziła się. — Trochę ich się boję — powiedziała. — Pojedziesz tam ze mną?

— Czy reporter mógłby przepuścić taką okazję? — zapytał Lemon idąc w kierunku barku.

Następnego dnia Jack Lemon czekał na Pamelę pod jej biu-rem. Pogoda była typowo angielska — Lemon starannie pozamykał okna w samochodzie, żeby do środka nie przedostawała się obrzydliwa, zacinająca mżawka. Cały czuł się przesiąknięty wilgocią, rzucił z odrazą mokry płaszcz na tylne siedzenie i zapalił papierosa. Żarzący się ognek i kłęb dymu podniosły go nieco na duchu. Nareszcie coś suchego — pomyślał. — Drzwi samochodu otworzyły się po chwili i na siedzenie koto Lemona szybko wsunęła się Pamela.

— Jak to miło, że rzuciłeś się biegiem otworzyć mi drzwiczki — powiedziała.

— Nie zauważyłem cię — odpowiedział Lemon. — Ta cholerna mżawka działa mi na nerwy.

— Masz wodowstręt? — zainteresowała się zyczliwie.

— Na to wygląda — zgodził się Lemon.

— Od dawna to podejrzewałam — powiedziała Pamela z satysfakcją.

— Dlaczego? — zdziwił się.

— Nie wiesz? To podobno jeden z objawów wścieklizny, kochanie — wyjaśniła Pamela i przytuliła się do jego ramienia.

— Wystawiasz moją wrodzoną dobroć na ciężką próbę — stwierdził Lemon i włączył silnik.

Po dwudziestu kilku minutach dojechali do domu państwa Beynam. Lemon zgasił motor, wyjął kluczyki ze stacyjki i spoj-rzał na Pamelę.

— Gotowa? — zapytał.

Pamela zamknęła na chwilę oczy, po czym potrząsnęła głową i sięgnęła do drzwi.

— Do boju — bąknęła wysiadając.

— Nie zapomnij opuścić przyłbicy — przypomniał Lemon zamykając samochód.

Weszli powoli po kilku kamiennych schodkach. Na dźwięk dzwonka otworzyła im sama pani Beynam.

— Proszę — powiedziała, obrzucając jednocześnie zdziwionym spojrzeniem Lemona.

— Proszę wybaczyć — powiedziała Pamela wchodząc — że nie uprzedziłam, że zjawi się wraz ze mną mój przyjaciel i doradca, pan Lemon.

— Bardzo mi miło — powiedziała chłodno Kate Beynam — chociaż jestem zaskoczona. Sądzę, że takie rozmowy powinny odbywać się w gronie wyłącznie bezpośrednio zainteresowanych osób.

— Chodziło tylko o wyrównanie sił — zażartował Lemon.

— Nie ma mowy o bitwie — odparowała i poprowadziła ich do saloniku.

Philip Beynam stał przy barku przygotowując drinki.

— Tylko trzy — zauważył Lemon. — A przecież musiał usłyszeć mój głos i to, co mówiła jego żona.

— Dzień dobry — powiedział sztywno Beynam. — Pani nie jest sama?

— Mój przyjaciel i doradca, pan Lemon — Pamela zaprezentowała Jacka powtórnie.

Kate Beynam posadziła ich w fotelach, a jej mąż niechętnie wyjął czwartą szklankę.

Chytrusek, szkoda mu whisky — domyślił się Lemon, przybierając minę stosowną dla „przyjaciela i doradcy”. Beynam nie pytając podał im szklanki, a jego żona zapalając nieco drżącymi rękami papierosa powiedziała:

— Wspominałam już, że moim zdaniem w rozmowie powinni uczestniczyć tylko zainteresowani. Może więc przeprosimy pana

Lemona i przejdziemy do innego pokoju?

— Pan Beynam nie jest bezpośrednio zainteresowany — zauważyła Pamela.

— Jest moim mężem — powiedziała Kate spoglądając znacząco na Pamelę i Lemona.

Pamela zmieszała się lekko. Lemon postanowił przejąć więc inicjatywę.

— Jestem jak najbardziej zainteresowany — wyjaśnił poważnie — liczę na posag.

Pani domu zacisnęła mocno usta. Pamela szybko pochyliła głowę, żeby ukryć uśmiech.

— Skoro pan nie daje się wyprosić — powiedział niegrzecznie Beynam — to trudno, porozmawiajmy we czworo. W końcu to w pani interesie leży dyskrecja.

Pamela uniosła lekko brwi, lecz nie odezwała się. Lemon zadowolony z pierwszego sukcesu usadowił się wygodnie i zapalił papierosa.

— Niech i tak będzie — zgodziła się niechętnie gospodyni. — Możemy chyba od razu przystąpić do rzeczy.

Państwo Beynam najwyraźniej przygotowali wcześniej scenariusz tej rozmowy, a dla pani domu zarezerwowana była główna rola. Przybycie Lemona wprowadziło pewne zamieszanie, ale siostrzenica pani Mary zignorowała go całkowicie, zwracając się wyłącznie do Pameli.

— Jak pani wie — zaczęła — moja matka i ciotka Mary były siostrami. Moja matka była zresztą starsza i wiele czasu poświęciła na opiekę nad siostrą, a także — jeszcze w czasach panińskich ciotki — na pomoc finansową dla niej. Ciotka stała się samodzielna finansowo dopiero po wyjściu za mąż. — Pamela skinęła głową, więc pani Beynam ciągnęła dalej. — Od śmierci mojej matki ciotka wspomagała mnie raz czy dwa, później natomiast wielokrotnie mówiła, że chce mi przekazać wszystko w całości — jako spadek po jej śmierci. Tymczasem

jednak na scenie pojawiła się pani. Nie chcę wnikać, czy i w jaki sposób zabiegała pani o pieniądze, ale proszę pamiętać, że w sądzie pani częste wizyty u ciotki mogłyby być z łatwością zinterpretowane bardzo nieprzychylnie. Tak więc pojawiła się pani — osoba spoza rodziny, którą nagle, na kilka miesięcy przed śmiercią, ciotka obdarza w testamencie połową kapitału złożonego w banku. Ten testament, proszę pani, można bez wielkiego trudu obalić. Po namyśle postanowiliśmy jednak, że można najpierw poszukać innej drogi, nie narażającej pani na tak liczne przykrości. Oboje wraz z mężem uważamy, że za opiekę nad ciotką należy się pani pewna rozsądna suma, ale jednocześnie nie możemy się pogodzić z tak... krzywdzącą sytuacją, jak obecna. Proponuję zatem — Kate Beynam wzięła głębszy oddech — ażeby zwróciła nam pani dobrowolnie pewną część otrzymanej sumy. Gotowi jesteśmy zgodzić się, żeby zatrzymała pani nawet — powiedzmy... dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Wtedy podział uznamy za sprawiedliwy. Jeżeli pani się nie zgodzi, wniesiemy sprawę do sądu.

Pamela opuściła głowę.

— Kilka spraw chciałabym wyjaśnić — odezwała się po chwili. — Po pierwsze w żadnym wypadku nie traktuję tych pieniędzy jako rodzaju zapłaty za moją opiekę, jak pani powiedziała, nad panią Mary. Wiedziałam, że pani Calgaret ma jakiś kapitał, nigdy nie przypuszczałam jednak, że może być tak duży. Nigdy też nie liczyłam na żaden zapis w testamencie ani nic takiego.

Beynam skrzywił się w tym momencie ironicznie. Lemon z trudem powstrzymał się przed natychmiastowym wyzwaniem go na ubitą ziemię.

— Sytuacja byłaby prosta — kontynuowała Pamela — gdyby byli państwo ubodzy lub z innych ważnych względów potrzebowali całej tej sumy. Tak jednak, o ile wiem, nie jest. Są państwo stosunkowo zamożni — proszę wybaczyć, że mówię o takich sprawach — a suma jaką państwo mają otrzymać, jest

przecież także znaczna. Wiem, że pani Mary do ostatniego dnia zachowała pełną jasność umysłu i przypuszczam, że te fakty także wzięła pod uwagę.

— To wszystko nie ma nic do rzeczy — przerwał jej Beynam.  
— Pani nie ma prawa do tych pieniędzy.

— Proszę pozwolić mi skończyć — powiedziała Pamela. — Istnieją też inne względy — ciągnęła dalej — choćby takie jak ten, że — o ile pamiętam — państwo nigdy nie interesowali się panią Mary tak, jak obecnie spadkiem po niej. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby byli państwo pokrzywdzeni. Z drugiej strony sytuacja jest dla mnie bardzo nieprzyjemna. Nie wiem... nie jestem zdecydowana, jak powinnam się zachować.

— Obawiam się, że ma pani tylko jedno wyjście — twardo powiedziała pani domu. — W przeciwnym wypadku skierujemy sprawę do sądu i najprawdopodobniej nie dostanie pani nic.

— Proszę mnie nie straszyć — zdenerwowała się Pamela. — W tej chwili radzę się sumienia, a nie portfela.

— Może daliby państwo jej czas do namysłu — wtrącił się Lemon — powiedzmy trzy dni. Pamela musi to wszystko gruntownie przemyśleć i zdecydować się. W grę wchodzi zbyt poważne sumy, żeby podejmować pośpiesznie decyzje.

Państwo Beynam spojrzeli na siebie.

— Wolelibyśmy — wahając się powiedziała Kate — żeby pani zdecydowała dzisiaj. Sprawa ciągnie się już dostatecznie długo.

— Bardzo trudno byłoby podjąć decyzję teraz — poparła Lemona Pamela. — Tym bardziej że — zmrużyła lekko oczy wpatrując się w Kate Beynam — chciałabym przedtem poznać do końca wszystkie okoliczności śmierci pani Mary.

Gospodyni uniosła lekko brwi.

— Okoliczności śmierci? Nie rozumiem.

— Ten nagły atak serca jest bardzo dziwny... — brnęła dalej Pamela — nikt nie zna jego przyczyny, a przecież nie mógł się wziąć z powietrza...

— W tym wieku... — zaczął Beynam.

— Ktoś widział też — przerwała mu Pamela — jak pani Mary rozmawiała na kilka minut przed śmiercią z jakimś młodym mężczyzną. Chcę odnaleźć tego człowieka.

Kate Beynam przygryzła lekko wargi.

— Czy lekarz nie stwierdził zawału? — zapytała.

— Tak, oczywiście — przytaknęła Pamela — ale mimo to uważam, że trzeba tę sprawę wyjaśnić.

— Jak pani chce — wzruszyła ramionami pani domu. — Spotkajmy się za trzy dni, o tej samej porze. Ale proszę pamiętać — dodała — jeśli to gra na zwłokę, to nic pani nie da. Jeżeli nie dojdziemy do porozumienia, oddam sprawę do sądu. A opóźnianie tego będzie dodatkowym argumentem przeciw pani.

— Prosiłam już, żeby mnie nie straszono — powtórzyła Pamela. — W końcu zastanawiam się nad tym, czy nie oddać państwu własnych, legalnie przeze mnie posiadanych pieniędzy. To znaczy tych, które mam posiadać — sprostowała. — Jest to chyba dostateczny powód, by nie straszyć mnie co minutę sądem.

— Niech pani nie będzie taka wrażliwa — rzucił ironicznie Philip Beynam.

— Pana rycerskość wprawia mnie w zdumienie — powiedział Lemon.

— Niech pan nam daruje swoje kiepskie dowcipy — odparł Beynam.

Lemon uśmiechnął się i spojrzał na Pamelę.

— Czas na nas, Pamelko — powiedział.

Pamela skinęła głową i podniosła się z fotela.

— Wpadniemy za trzy dni — powiedział Lemon kłaniając się lekko.

W samochodzie Pamela odetchnęła głęboko, oparła głowę o drzwiczki i przymknęła oczy.



— Przemili ludzie — zauważył Lemon zapalając papierosa.  
— Sama już nie wiem... — westchnęła zniechęcona Pamela.  
— Patrzę na mnie jak na złodzieja, mówią jak do oszustki...  
sama rozkosz.

Lemon uśmiechnął się niewesoło.

— Prawdziwie szczęśliwi są ludzie ubodzy, Pamelko — powiedział.

— Żebyś wiedział.

— No, no, nie wszystko, co mówię, musisz brać tak serio — zauważył.

— Co ty byś zrobił na moim miejscu? — zapytała Pamela.

— Miałbym tylko jeden problem. Nie co zrobić z pieniędzmi, ale co zrobić Beynamom.

Pamela uśmiechnęła się.

— I co byś im zrobił?

— Jeszcze nie wiem... ale mamy trzy dni. Coś przez ten czas wymyślę — zapewnił ją i włączył silnik.

Przez cały następny dzień Lemon pracował w pocie czoła. Przejechał pół Londynu, stukał do rozmaitych drzwi, rozmawiał z najróżniejszymi ludźmi. Zbadał wszystkie pozostałe adresy, lecz mimo jego usilnych starań tylko w jednym przypadku ktoś przypomniał sobie bladoliciego bruneta, który tym razem był posłańcem z kwiaciarni. We wszystkich pozostałych miejscach, nawet jeśli chciano z nim rozmawiać, nie przypomniano sobie — lub nie chciano przypomnieć — nikogo podobnego. Wrócił do domu późnym wieczorem i przy kolacji referował Pameli wyniki swojego dochodzenia.

— Po pierwszym dniu liczyłem na więcej — podsumował — ale myślę, że jeden nieznanany nikomu facet przy czterech zgonach, które się komuś opłacają, to dosyć.

— Dla mnie też wystarczy — zgodziła się Pamela.

— Mamy więc pewność — ciągnął Lemon — a w każdym

razie jesteśmy głęboko przekonani, że jest facet, który pomaga ludziom przenosić się na tamten świat. Tyle tylko, że z tego nic nie wynika. Człowiek ten jest tak sprytny, że mimo co najmniej czterech występów nie obudził w żadnym wypadku najmniejszych podejrzeń. Wiemy zatem, że jest i działa, i jak wygląda. Nie wiemy, kim jest i jak morduje.

— Morduje? — Pamela wzdrygnęła się na dźwięk tego słowa.

— Tak to się podobno nazywa — stwierdził Lemon.

— Ale przecież nie wiemy, czy... morduje! — zaprotestowała Pamela. — Wiemy tylko, że jest przy tym obecny.

— I pewnie tylko przynosi pecha?

— Ale przecież lekarze stwierdzają zawsze zgon naturalny — upierała się Pamela. — Możliwe, żeby czterech różnych lekarzy popełniło taką samą omyłkę?

— Skoro tak było, to widać możliwe — skwitował Lemon. — Pamela — dodał — ja też nie wiem, co ten człowiek robi, ale gdyby nie przyczyniał się do śmierci tych ludzi, to po co by w ogóle przychodził? Popatrzeć?

Pamela westchnęła głęboko.

— Masz rację, ale nadal wiemy tylko tyle, co przedtem.

Może działa jakąś trucizną, powodującą atak serca?

— Trucizny... czekaj, czekaj — ożywił się Lemon. — Zastanówmy się jeszcze raz, jak ten człowiek zachowywał się wobec ofiar?

— Rozmawiał z każdą i...

— No właśnie! — przerwał jej. — Każdej z nich dotknął!

— Zaraz... pani Mary podała rękę, a tamtym...

— Każdej z nich dotknął — kiedy udawał mechanika, panią Craftword poklepał po ręku i powiedział, że telewizor będzie grał bez zarzutu. Kiedy udawał kwiaciarza, wyciągnął rękę po napiwek. Ta od porcelany — jak ona? — aha, pani Brokeston — też, jestem pewien — podała mu rękę na pożegnanie. I zaraz po

tym — atak serca. Hm... tak, tylko że nie słyszałem o truciznie działającej przez skórę... No, nic, do tego trzeba fachowca.

— Znasz jakiegoś toksykologa? — zdziwiła się Pamela.

— Prasa wie wszystko — wyjaśnił jej Lemon. — Mamy w gazecie faceta od wypadków. Rodzaje broni, odmiany pchnięć nożem, trucizny — to wszystko ma w małym palcu.

— Będziesz musiał mu chyba powiedzieć, po co ci te informacje?

— A czy nie zbieram właśnie materiału do sensacyjnego reportażu o nagłych zgonach i spadkach?

— Zawsze starasz się łączyć miłe z pożytecznym — zauważyła Pamela. — Mam nadzieję, że nie przeczytam kiedyś twojego sensacyjnego reportażu o blaskach i cieniach współzycia z Pamelą Jones?

— Nie sędzę — mruknął Lemon przyciągając ją do siebie. — Byłoby to zbyt szokujące nawet w dzisiejszych czasach zepsucia.

— Pochlebca — uśmiechnęła się Pamela.

## Rozdział VI

Peter Sargent był niewielkim zasuszonym człowiekiem w nieokreślonym wieku. Ubierał się zawsze w przedziwne podobne do siebie szarobrązowe garnitury, które powszechnie budziły podejrzenie, że właściciel używa ich do wycierania kurzu w mieszkaniu. Był tak niepozorny, że zwykle ludzie nie znający go, odnosili się do niego z wyższością zaprawioną odrobiną pobłażania, należącego zdziwaczałym starszkom i przywidłym primadonnom. Wszystko zmieniało się, gdy Peter Sargent zabierał głos. W to, co mówił, nie przedostawały się nawet okruchy niedbalstwa widocznego w jego stroju. Nie lubił

zabierać głosu w sprawach, na których się nie znał. Kiedy jednak otwierał usta, wszyscy mieli pewność, że chropawy bas należy do człowieka kompetentnego — fachowca w swojej dziedzinie.

Od kilkunastu lat kierował w „Evening Standard” działem kryminalnym. Jego doświadczenie i wiedzę o sposobach mordowania i okradania ludzi podziwiali nawet inspektorzy Scotland Yardu. Znał budowę najprzemysłniejszych zamków, najnowszych pistoletów i najsprytniejszych systemów alarmowych. O przestępcach i przestępstwach wiedział niemal wszystko.

Siedział teraz na krawędzi własnego biurka, machając niebale chudą nogą i przyglądał się dobrotliwie Lemonowi.

— No co tam, chłopaczku? — zapytał przymrużając jedno oko. — Słyszałem, że bronisz ostatnio starszych, majątnych pań?

— Pan wie wszystko, panie Sargent — podlizzał się Lemon. — Mam z tym kłopot. Nikt do nich nie strzela, nikt ich nie dusi, a umierają szybko i dziwnie regularnie. Wygląda na to, że albo mi się wszystko przywidziało, albo to jakiś cichy sposób przenoszenia ich na łono Abrahama. Przyszło mi do głowy, że może to trucizna.

— Trucizna, hę? — zaciekawił się Sargent. — A nie było żadnego porażenia prądem w wannie pełnej wody albo chytrego uderzenia w serce czy wątrobę, co?

— Niestety, to raczej odpada.

— Hm... no to może rzeczywiście trucizna? — zamyślił się. — Broń kobiet i perfidnych mężczyzn... łatwa i wygodna w użyciu — można dosypać do kawy, wstrzyknąć, ukłuć... Można zaplanować wszystko — rodzaj śmierci, długość męczarni, nasilenie bólu... Umierały szybko?

— Tak, chyba szybko. Najwyżej w pół godziny albo jeszcze prędzej.

— Ooo, to ktoś niecierpliwy — zamyślił się Sargent. — Odpada

arszenik, wyciągi z jadu grzechotnika, takie jak krotaktyna czy krotanina. Były drgawki? — zapytał rzeczowo zwracając perkaty nos w stronę Lemona.

— Nie sądzę — zaprzeczył Lemon.

— Szkoda — stwierdził Sargent — to by uprościło sprawę. Jeśli nie było, to możemy odrzucić brucynę i strychninę. Nie wygląda też na cyjankalia. Było porażenie mięśni?

— Hm... nie sądzę.

— To raczej na pewno nie cyjankalia. Delirium, gwałtowne podniecenie, coś takiego? — zapytał z nadzieją.

Lemon zaprzeczył ruchem głowy.

— Hm, zadziwiasz mnie, chłopaczku. Miałem nadzieję, że to może atropina albo skopolamina. A wymioty, drętwienie kończyn? Też nie...?

— Wyglądało na atak serca — wtrącił Lemon.

— Atak serca... a więc ani cykuta, ani kurara... Hm... można, czemu nie — mruknął do siebie — ale to kłopot. Mięsień sercowy, chłopaczku — powiedział — porażają, o ile wiem, tylko glikozydy. Naparstnica, digitoksyna i takie tam różne. Ale trzeba tego sporo. Poza tym dają też objawy zatrucia — wymioty, bóle głowy itd.

— Można to podać przez ukłucie albo — czy ja wiem — wtarcie w małą rankę?

— Niestety, to trzeba zjeść, chłopaczku — rozczarował go Sargent. — To zresztą niewygodna trucizna i nie działa tak piorunująco. A dobry lekarz też ma przy tym pewne szanse na spektakularny sukces.

— Fatalnie... — mruknął Lemon.

— Nie powiedziałbym, chłopaczku — uśmiechnął się Sargent. — To zresztą zależy od punktu widzenia.

— Niezupełnie to miałem na myśli — roześmiał się Lemon. — Fatalnie, bo upada moja koncepcja trucizny. Jest facet, który rozmawia z tymi kobietami, podaje im rękę, a one w kwadrans później umierają na serce.

— Ciekawe — Sargent spojrział na niego uważniej. — Wygląda

nieźle, ale trucizna z objawami ataku serca... nie da rady. Musisz wymyślić coś innego.

— Spróbuję — mruknął Lemon.

— Nie wątpię, chłopaczkę — zauważył Sargent.

Lemon siedział zamyślony w swoim ulubionym fotelu, popijając powoli piwo z puszki. Wyglądało na to, że sprawa utknęła w martwym punkcie. Oczywiście, zebrany materiał i stwierdzone fakty pozwoliłyby mu napisać sensacyjny reportaż, który szefowie umieściliby na pierwszej kolumnie, tyle tylko, że poza opisem tajemniczych zbieżności w wypadku śmierci kilku starszych pań, zawierałby dużo pytań bez odpowiedzi. Lemon musiał przyznać przed sobą samym, że sprawa ta wciągnęła go o wiele bardziej, niżby tego pragnął. Tymczasem — po pierwszych sukcesach — ciągle trafiał w ślepe uliczki. Od kilku dni myślał niemal wyłącznie o sposobach mordowania bez pozostawiania śladów. Sposób z trucizną wydawał mu się jednak możliwy, tymczasem dzisiaj Sargent, który bez wątplenia wiedział, co mówi, odrzucił tę możliwość. Teoretycznie, oczywiście, ktoś mógł wymyślić albo odkryć nową truciznę powodującą atak serca, niepozostawiającą śladów. Jednak nie wydawało się to możliwe — trucizna nie mogła przecież działać tak piorunująco przez skórę, a zresztą brunet nie występował w rękawiczkach, więc sam też musiałby się zatruć. Nakłucie ktoś by zauważył, też odpada. Może jakaś wschodnia szkoła walki? Lemon słyszał coś o ciosie wibrującej ręki, ale przecież nie zadawano go w dłoń ani w ramię! Niepojęte — stać obok, podać rękę i zabić — o ile oczywiście nie zwariowałem i to wszystko nie jest wytworem mojej chorej wyobraźni — dodał w duchu Lemon.

Pamela długo nie przychodziła. Lemon westchnął, podniósł się ociężale i poszedł do kuchni. Pustą puszkę po piwie postawił

w kącie obok dwóch już tam stojących i z lodówki wyjął następną. Świat jest pełen zagadek — dumął coraz bardziej odbiegając od tematu — latające talerze, piramidy, skalne rysunki kosmonautów. Rozwiązywanie tajemnic wejdzie mi w nałóg i już nie będę mógł się oderwać. Na świecie jest tyle przyjemnych rzeczy. Niech o tajemnicę martwią się inni — policja, pasjonaci, wariaci, diabli wiedzą, kto jeszcze. Ale dlaczego ja?! Ja nie mam ochoty ścigać jakiegoś wodnistego bazyliuszka... Spowaźniał nagle i potrząsnął głową usiłując przywrócić jej jasność myślenia.

— Bazyliuszka? — powtórzył głośno już skupiony. — A jeże-  
li... no, niezupełnie bazyliuszka... ale, bzdura... przecież to fanta-  
zja... wyśmieją głupiego Lemona za takie pomysły... no, to wy-  
śmieją... a głupi Lemon to sprawdzi... bo jest głupi... ale skoro  
nie ma innego wyjaśnienia... cholera — zaklął nagle. — Czy  
mnie muszą przychodzić do głowy takie idiotyczne pomysły?  
Ale gdyby się okazało, że nie są idiotyczne... — Spojrzał na  
zegarek — dochodziła dziewiętnasta. Wcisnął głębiej w kąt  
puszki po piwie, nabazgrał szybko kartkę do Pameli i wyszedł z  
mieszkania. Chwilę po jego wyjściu zadzwonił telefon. Draż-  
niący ciszę, przenikliwy dźwięk długo rozlegał się w pustym  
pokoju.

Pamela Jones wyszła z biura wcześniej niż zwykle. Udało jej  
się załatwić tego dnia kilka spraw pozornie nie do załatwienia i  
szef w przypiływie łaskowości zwolnił ją godzinę wcześniej.  
Postanowiła przygotować z tej okazji ucztę dla Lemona. Musia-  
ła jeszcze tylko zrobić zakupy. Miała wyrzuty sumienia wobec  
Jacka. Wciągnęła go w sprawę, o której sama nie wiedziała już,  
co myśleć, a on zaangażował się po uszy. Mówił i myślał już  
niemal wyłącznie o tym.

Będzie miał nauczkę, żeby nie przejmować się moim gadaniem

— przewidywała smętnie — kiedy okaże się, że to wszystko bzdury. Zamyślona wchodziła do domu towarowego. Było dosyć tłoczno. Pamela automatycznie przepuściła jakąś starszą damę z wnuczką i już chciała ruszyć w kierunku stoisk na parterze, kiedy ktoś dotknął lekko jej pleców. Chciała się odwrócić, lecz w tej samej chwili poczuła dziwne drżenie i zaraz potem przeraźliwy chłód w okolicy serca. Chłód niemal natychmiast przerodził się w przenikliwy, narastający ból w klatce piersiowej. Poczula, że brak jej powietrza.

— Boże... — zdołała tylko wykrztusić i mgła zaczęła przesłaniać jej oczy. Szarpnęła gwałtownie kołnierzyk bluzki. Za plecami usłyszała czyjś cichutki, przerażająco okrutny śmiech. Straciła przytomność.

Przy drzwiach supermarketu zrobił się ruch. Jakaś kobieta krzyknęła widząc upadającą bezwładnie Pamelę, nad którą natychmiast zebrała się grupka osób. W kilka chwil później jedna z ekspedientek telefonowała po karetkę, ktoś inny próbował cucić Pamelę klepiąc ją po policzkach. Bez rezultatu. Leżała bezwładnie, a z rozciętego przy upadku czoła powoli sączyła się krew.

## Rozdział VII

Jack Lemon był już porządnie zmęczony. Przeszło godzinę zajęło mu tropienie śladów swojego starego znajomego Toma Randalla. Lemon stracił z nim kontakt kilka lat temu, kiedy Randall, po rozwodzie z żoną, która nie mogła znieść jego zainteresowań i powodowanych przez nie konsekwencji, zmienił adres. Odszukanie obecnego wymagało od Lemona dwóch wizyt i kilku telefonów. Teraz siedział w jednym z dwóch obszernych pokoi zajmowanych przez Toma i rozglądał się nie



bez zdziwienia. Parę wieków temu spalono by go na stosie — pomyślał patrząc na wypełniające olbrzymią, oszkloną szafę przedmioty, których zastosowania nie umiał nawet przewidzieć. Stosy kijów dziwnych kształtów, różnego rodzaju niewielkie walce i stożki, pałeczki, spirale, kule różnych kolorów. Na szafie w specjalnej gablotce wykonanej z pleksiglasu stało sporych rozmiarów skomplikowane urządzenie, które — jak na to wskazywały zainstalowane w nim liczniki przypominające woltomierze — miało chyba coś wspólnego z elektrycznością, ale co i w jakim stopniu, tego Lemon nie próbował nawet zgadnąć. Nad nim, na przestrzeni całego sufitu rozpościerała się olbrzymia mapa nieba, z dyskretnie zaznaczonymi liniami, świadczącymi, że niezupełnie o astronomię tu chodziło. Reszty dopełniały ciężkie wygodne meble z czarnego drzewa i zajmująca całą ścianę biblioteka. Widoczne na grzbietach książek tytuły dość wyraźnie różniły ją od przeciętnych, domowych księgozbiorów.

Naprzeciw Lemona siedział ostrzyżony na jeża, trzydziesto-kilkuletni mężczyzna i z rozbawieniem, niepozobawionym zadowolenia, obserwował reakcje malujące się na twarzy Jacka.

Tom Randall był — najogólniej mówiąc — jednym z pasjonatów, o których myślał niedawno Lemon. Zajmował się wieloma tajemniczymi i niezbadanymi zjawiskami, jednak główną domeną jego działalności było różdżkarstwo. Miał już za sobą dość znaczne sukcesy na tym polu, ustaloną pozycję i dobrą opinię w swoim środowisku oraz jedną pracę naukową poświęconą specyfice i oddziaływaniu żył wodnych. Finansowo prosperował także co najmniej niezle, klientów bowiem, gotowych dobrze zapłacić za jego fachowe usługi, nie brakowało.

— Podoba ci się? — zapytał częstując Lemona papierosem.

— Dla mnie bomba — mruknął Lemon. — Przerabiasz tu piasek na złoto?

— Jeszcze nie, to będę robił na emeryturze.

Lemon miał trudności z przedstawieniem swojej sprawy. Co prawda jego pomysły w tym otoczeniu wydawały się nieco mniej absurdałne, jednakże z drugiej strony miał przed sobą niewątpliwie fachowca w swojej dziedzinie, więc kompromitacja mogła okazać się tym większa.

— Tom... — zaczął niepewnie. — Jest pewna sprawa, w której chciałem się ciebie poradzić. Mam w związku z nią pewien pomysł i... chciałbym, żebyś pomógł mi go zweryfikować. Nie mam pojęcia, czy to coś jest w ogóle możliwe...

— Lubię tak zaczynające się rozmowy — przerwał mu Randall. — Mów śmiało, sprawisz mi prawdziwą przyjemność. Nie cierpię tych banalnych rozmów zawsze toczących się wokół pieniędzy, kariery albo kobiet. W najlepszym razie ludzie spotykają się i opowiadają sobie, co robili w czasie weekendu. Ile razy mam pecha i trafiam na takie dyskusje, jestem potem otepiały, jak w poranek po nocnym pijaństwie. A propos pijaństwa, przepraszam, ale nie mam nic mocniejszego, nauczyłem się nie potrzebować używek, poza tą jedną — wskazał na papierosa. — Ta też przeszkadza mi w pracy, ale jest jeszcze gorzej, kiedy zamiast pracować myślę o tym, że chciałbym zapalić.

— Dobrze mi robi woda mineralna — uspokoił go Lemon.

— Świetnie — Randall wyszedł z pokoju i wrócił po chwili niosąc dwie szklanki napełnione wodą mineralną. Dorzucił do nich po dwie kostki lodu, postawił na stole i usiadł wygodnie. — Słucham — powiedział zaplatając dłonie i opierając na nich brodę.

— Boję się, że mogę cię nieco rozczarować. Ta sprawa pośrednio dotyczy pieniędzy — uśmiechnął się — pośrednio też kobiety. Mimo to próbuje. Nie bardzo widzę inne wyjście.

Powoli, starając się nie pominąć żadnego istotnego szczegółu,

opowiedział Randallowi całą historię. Tom słuchał cały czas uważnie, z lekko pochyloną i wspartą na dłoniach głową. Kiedy Lemon skończył, spojrział na niego lekko zdziwiony.

— Sprawa jest rzeczywiście bardzo niejasna, ale szczerze mówiąc nie wiem, jak ci pomóc. Sądziłeś może, że zajmuję się jasnowidztwem?

— Absurd — Lemon przełamał opory i postanowił przedstawić swój pomysł bez względu na ryzyko ośmieszenia. — Jak powiedziałem, nie daje się zauważyć związku pomiędzy tym człowiekiem a zmarłymi kobietami, jednak, według mnie przynajmniej, związek ten nie ulega wątpliwości. Powoduje ich śmierć działając w sposób, którego medycyna najwyraźniej nie zna. Może wytłumaczy to paramedycyna. Wiem, że masz rozległą wiedzę w tej dziedzinie. Czytałem kiedyś o jakimś facecie, Gellerze, czy Gallerze, że chwali się, że siłą woli potrafi zatrzymać płynący statek. Chcę, żebyś odpowiedział na pytanie, czy jest możliwe, żeby jakiś człowiek, używając swych ponadnormalnych możliwości — zabijał?

Zapanowała cisza. Randall popatrzył przez chwilę zaskoczony na Lemona, po czym zamyślił się na parę minut.

— A więc to przyszło — odezwał się wreszcie poważnie.— Pamiętaj, że mówimy o sprawach, w których niemal wszystko polega na przypuszczeniu. Błądzimy wciąż jeszcze po omacku. Nie powiem ci zatem nic stuprocentowo pewnego, będę jednak mówił rzeczy, o których jestem przekonany. Tak, myślę, że jest możliwe zabójstwo bioenergetyczne, jeśli tak można je nazwać. Za chwilę spróbuję to wyjaśnić. Powiedziałem bioenergetyczne, bo takie wydaje mi się najprawdopodobniejsze.

Człowiek, o którym wspomniałeś — Uri Geller — zajmował się czymś nieco innym telekinezą, czyli przekazywaniem i użytkowaniem energii na odległość. W tym wypadku mielibyśmy do czynienia z przekazem bezpośrednim, przez dotyk.

Rozmyślałem już kiedyś nad tym zagadnieniem. Jestem niemal pewien, że możliwe jest oddziaływanie ujemne, szkodliwe, skoro wiemy, że można oddziaływać dodatnio, korzystnie. Natura nie znosi próżni, nie znosi też braku równowagi. Skoro bioenergię umiemy nacechować dodatnio, pomagać chorym — musi też, moim zdaniem, istnieć możliwość wytwarzania energii szkodliwej. Pomyśl o magnesie — zależnie od ustawienia, odpycha drugi magnes lub przyciąga. Podobne procesy możemy zaobserwować przy innych rodzajach energii. Prąd elektryczny i tak dalej. Przypuszczam, że bioenergia musi mieć swoje „bieguny”, czy też — „znaki”. Nie byłaby inaczej energią pochodzenia naturalnego, a przecież wiemy, że jest. Wiemy też — jak już mówiłem — że natura nie lubi nierównowagi. Wniosek oczywisty.

Teraz druga sprawa — ciągnął Randall. — Czy jest to energia tak potężna, że można za jej pomocą zabić? Energia ta jest wymierna — amatorską kopię przyrządu do jej pomiaru widzisz tam — wskazał na maszynę tkwiącą w gablocie z pleksiglasu. — Kłopot tkwi w tym, że — jak dotychczas — jest nieporównywalna z innymi rodzajami energii, nie można więc dokładnie obiektywnie stwierdzić, jaka praca może być nią wykonana. Mamy jednak dowody — pomijając już banalne wyginanie łyżeczek — wystarczy wspomnieć o możliwościach Jermołajewa, który potrafił bez dotykania podnosić między rozstawionymi na pół metra dłońmi lekkie przedmioty — chustkę do nosa czy pudełko zapalek. Geller, że swoimi nie zawsze dokładnie udokumentowanymi doświadczeniami, skądinąd dosyć sensacyjnymi i niezwykłymi, także może być przykładem potęgi tych sił. Są zresztą dziesiątki innych przykładów: Ted Serios, Olga Worrall, Johann Rongen czy Dżuna Dawitaszwili. Oficjalnie nie przeprowadzono dotychczas ani jednego doświadczenia z bioenergią, w czasie którego chciano

by zaszkodzić badanemu, skazani więc jesteśmy na brodzenie w domysłach. Z drugiej jednak strony istnieją fakty, do których można się odwoływać, licząc na analogię. Na przykład słynne „fale strachu”, o których musiałeś słyszeć.

— Fale strachu? Gdzieś o tym czytałem, ale myślałem, że to kaczką.

— Bynajmniej. Wytwarza je specjalne urządzenie, emitujące fale bardzo niskiej częstotliwości. Aby uniknąć działania przy-padku, eksperymentowano z nimi w miejscach, gdzie ludzie czują się zwykle bezpieczni i rozluźnieni — w dyskotekach, kawiarniach. Kilkanaście minut pracy tego urządzenia wystarczyło, żeby wytworzyć u wszystkich obecnych stan silnego zaniepokojenia, zdenerwowania i lęku. Ludzie, nie zdając sobie sprawy z przyczyn takiego postępowania, opuszczali lokale w stanie silnego stresu. Niektórzy byli po prostu przerażeni.

Albo możliwości hipnozy. Jak wiesz, używa się jej zwykle w celach służących człowiekowi. Leczenie nerwic, pozbywanie się nałogów i tak dalej. Ale przecież tylko od uczciwości hipnotyze-ra zależy, czy nie zaszkodzi swoją metodą pacjentowi. No, powiedzmy, usypia człowieka, każe podejść do otwartego okna i wmawia mu, że jest, bo ja wiem, spadochroniarzem czy Ikarem — wszystko jedno. Później mówi „skacz, nic ci się nie stanie” — i człowiek leci z dziesiątego piętra na bruk.

Weźmy jeszcze co innego — sztukę magów filipińskich. Naoczni świadkowie opowiadali o niewytłumaczalnych naukowo operacjach, których dokonywali oni gołą ręką. Rozcinali skórę samą dłonią lepiej i dokładniej, niż chirurg zrobiłby to lincem. Usuwali chory narząd czy jego część, a rana goiła się błyskawicznie. Żeby było zabawniej — pacjent był cały czas przytomny. A gdyby tak ktoś znający tajniki ich sztuki chciał zabić? Ciekawe, ile lat policja głowiłaby się nad określeniem narzędzia

zbrodni. Wróćmy jednak do ujemnej bioenergii. Jeżeli przyje-  
libyśmy narzucającą się, najprostszą teorię „lustrzaną”, to,  
zakładając pewne niedokładności, możemy hipotetycznie roz-  
ważyć cały proces powodowany przez tę siłę. Zarówno w dzia-  
łaniu bioenergią dodatnią, jak i ujemną pierwsze wrażenie w  
zestknięciu się z nią powinno być podobne — rodzaj wstrząsu.  
Tak jak z reakcją na silne oparzenie i zamrożenie — człowiek  
nie jest w stanie w pierwszej chwili tego odróżnić. Ta analogia  
może się nam zresztą jeszcze przydać. Drugą reakcją organi-  
zmu na energię dodatnią bywa mrowienie lub uczucie ciepła,  
rozchodzące się promieniście po ciele, koncentrujące się szyb-  
ko wokół chorego organu. Należałoby zatem przyjąć, że czło-  
wiek zaatakowany ujemną bioenergią powinien mieć uczucie  
zimna lub chłodu, być może również ogniskujące się wokół  
jakiegoś narządu. Później zostaje już tylko jeden etap, w pew-  
nym stopniu nieprzewidywalny — zmaganie narządu z energią.  
Wynik tej walki zależy na pewno od wielu czynników, ale mo-  
żemy śmiało przyjąć, że organizm stary wyniszczony będzie się  
bronił słabiej, zwłaszcza jeśli zaatakowany zostanie narząd  
szczególnie osłabiony czy chory.

Tak by to mniej więcej wyglądało, Jack, przynajmniej jeśli  
chodzi o model teoretyczny. Obawiam się, że jest on — być  
może z jakimiś zmianami — możliwy do zrealizowania w prak-  
tyce

—No dobrze — Lemon zapomniał o swoich poprzednich  
obawach, myślał już trzeźwo i chłodno — mówiłeś, że najlepsi  
w tej dziedzinie podnoszą przedmioty o wadze zaledwie paru  
gramów. Czyli działają siłą, jaką dysponuje niemowlę. Nawet  
mniej — niemowlę podniosłoby to jednym palcem. Czy siła  
palca niemowlęcia może być zabójcza?

—Na pozór oczywiście nie — uśmiechnął się lekko Randall  
— ale gdyby niemowlę, omijając skórę i kości — tak jak bio-  
energia — wsadziło swój palec prosto w serce?

— Cholera — mruknął Lemon. — Nasze narządy mogą nie być uodpornione na takie zabawy.

— Na pewno nie są.

Lemon zamyślił się. Randall nie odzywał się także, popijając małymi łykami wodę mineralną. Chwilę siedzieli jeszcze w milczeniu, wreszcie spojrzeli na siebie poważnie.

— Domyślam się — odezwał się Lemon — że takiej zbrodni nie można udowodnić.

— Niestety, chyba nie. Trzeba by w chwili zabójstwa zainstalować aparaturę pomiarową, do której podłączyłby się morderca i jego ofiara. Wątpię, żeby to było realne.

— Jasne. Czyli facet może buszować bezkarnie, gdzie i ile zechce?

— Właśnie — Randall zmarszczył brwi. — Obawiałem się, że ktoś może wpaść na taki pomysł. Wszystko, co dotychczas wynaleziono, obracało się w końcu przeciw człowiekowi. Musiało się tak stać i tym razem. Oczywiście obaj nie mamy pewności, że w sprawie, o której mówiłeś, starsze kobiety umierają przez takiego właśnie biomordercę, ale samo podejrzenie już jest przerażające. Musimy go odnaleźć i sprawdzić to

— Musimy? — zdziwił się lekko Lemon.

— O ile przyjmiesz oczywiście moją pomoc. Poza tym spróbuję porozmawiać o tej teorii z Adalbertem Spencerem. Jeśli jego wnioski będą podobne do moich, to może i on zechce nam pomóc.

— Adalbert Spencer? — zmarszczył czoło Lemon. — Skądś znam to nazwisko.

— Nie wiesz? — Randall uśmiechnął się pobłaźliwie. — To jeden z najskuteczniejszych bioenergoterapeutów w Anglii. Pod względem siły oddziaływania przewyższa go na całym świecie zaledwie pięć, no, może sześć osób. Przypadkiem znam go dość dobrze. Ciekaw jestem jego opinii.

— Ale nadal nie mamy pojęcia, jak odnaleźć mordercę.

Tom Randall pochylił się lekko.

— Myślę, że to jest możliwe — powiedział spokojnie. — Posłuchaj...

Jack Lemon wrócił do domu po północy. Cicho otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Pameli najwyraźniej nie było. Jego kartka leżała na stole tak, jak ją zostawił, a całe mieszkanie było dokładnie w takim stanie, jak kilka godzin temu. Lemon poczuł nagły skurcz w żołądku. Gdyby Pamela miała wrócić tak późno, uprzedziłaby go. Gdyby nawet niespodziewanie postanowiła odejść, zostawiłaby jakiś list czy kartkę. A więc... Nerwowy skurcz przesunął się wyżej, w okolice serca. Lemon stanął na środku pokoju i zapalił papierosa. Wypadek, nagła choroba? Albo... Lemon zadrżał. Szybko sięgnął po grubą książkę telefoniczną i zaczął nerwowo przerzucać kartki. Po chwili wykręcał już numer telefonu. Dyżurny policjant kazał mu chwilę czekać, po czym przyczłapał z powrotem do aparatu i zaspanym głosem powtórnie zapytał o nazwisko.

— Pamela Jones.

— Wiek?

— Dwadzieścia sześć lat, wysoka, szczupła, włosy rude.

— Rude? To niedobrze — zarechotał krótko policjant.

— Jest pan cholernie dowcipny.

— Nie ma się co obrażać...Jones, Jones, nie Jonson?

— Nie — warknął krótko Lemon.

— Jones... a jest — policjant nieco spoważniał. — Laura Jones?

Lemonowi krew uciekła na chwilę do nóg, odetchnął dopiero, gdy dotarło do niego imię.

— Nie Laura, do cholery — powiedział powoli i prawie spokojnie — tylko Pamela.

— Mam tu tylko jedną Jones. Laureę.



— Mogę panu coś poradzić? — zapytał Lemon dając upust swej wściekłości.

— Co?

— Zmień fach, stary durniu. Jako grabarz świetnie podnosiłbyś ludzi na duchu. — Z trzaskiem odłożył słuchawkę. Policjant zresztą i tak przez chwilę nie mógł wykszusić słowa.

Przez kilka następnych minut Lemon sporządził listę szpitali. Oczywiście, mogła pojechać po wyjściu z pracy na drugi koniec Londynu, ale było to mało prawdopodobne. Następnie przyniósł sobie puszkę piwa, pociągnął długi łyk, starając się uspokoić, zapalił papierosa i wreszcie, próbując opanować drżenie rąk, sięgnął po słuchawkę. W pierwszym szpitalu dyżurna pielęgniarka stwierdziła, że nie mają takiej pacjentki. W drugim to samo. Za trzecim razem pielęgniarka przeglądając listę zatrzymała się.

— Powiedział pan Pamela Jones?

— Tak.

— Lat dwadzieścia sześć?

— Tak.

— Tę panią przywieziono do nas dziś po południu. Zawał serca.

— Co?!!! Żyje?!

— Tak, żyje, ale stan jest bardzo ciężki.

— Zaraz będę! — krzyknął Lemon i rzucił słuchawkę.

— Ależ o tej porze raczej... — pielęgniarka przerwała słysząc trzask w słuchawce i smutno pokiwała głową.

Lemon dotarł do szpitala po niecałych dziesięciu minutach. Złamał po drodze kilkanaście przepisów, o mały włos nie rozjechał jakiegoś pijaka i cudem nie spotkał żadnego patrolu policyjnego. Jak burza wpadł do pokoju pielęgniarki dyżurnej.

— Gdzie ona jest?!

— Ach, to pan — domyśliła się pielęgniarka. — Leży na pierwszym piętrze. O tej porze naprawdę nie można nikogo odwiedzać.

— A który pokój?

— Pięćdziesiąt dziewięć, ale naprawdę dopiero jutro... Proszę pana! — Próbowwała złapać Lemona za rękę, ale było już za późno. Biegł po schodach przeskakując po trzy stopnie. Zatrzymał się dopiero przed pokojem numer pięćdziesiąt dziewięć. Cichutko otworzył drzwi.

Na jedynym łóżku, pod przezroczystym namiotem tlenowym leżała Pamela. Jej twarz nabrała bieli kości słoniowej i niemal nie różniła się od pościeli. Oddychała z wyraźnym trudem. Stało przy niej kilka sporych rozmiarów urządzeń rejestrujących wykresy różnych funkcji organizmu. Z boku, z umieszczonej na statywie butelki, ściekał kroplami do żył pokarm. Krzątały się przy niej trzy osoby, dwóch lekarzy i pielęgniarka. Pamela była nieprzytomna. Jeden z lekarzy, słysząc odgłos otwieranych drzwi, odwrócił się na chwilę i obrzucił Lemona badawczym, lekko zdziwionym spojrzeniem. Napięcie malujące się na twarzy przybysza powiedziało mu widać wszystko, bo westchnąwszy głębiej odwrócił się bez słowa do Pameli. Na korytarzu zatupotały szybkie kroki i do pokoju wpadł dyżurny lekarz i pielęgniarka. Lemon nie poruszył się. Lekarz zwołnił na jego widok i niemal łagodnie położył mu rękę na ramieniu.

— Przykro mi, ale musi pan wyjść — powiedział cicho.

— Tak, przepraszam... Już idę — Lemon odwrócił się powoli i wyszedł z lekarzem. Na korytarzu przedstawił się i wyjaśnił, kim jest dla Pameli. Lekarz poprosił go do swojego gabinetu.

— Dobrze, że się pan pojawił. Nie mieliśmy kogo zawiadomić — wyjaśnił, kiedy usiedli obaj na aluminiowych fotelach obitych czarną skórą.

— Tak. Ona nie ma rodziny. Co jej jest, doktorze?

— Hmm... to trochę niezwykle u kobiety w jej wieku, ale to ciężki zawal. Chorowała na serce?

— Nigdy. Była zdrowa, wysportowana i nie slyszalem, zeby narzekala na serce.

— Moze byla przemeczona, moze jakies silne zdenerwowanie, nagly strach...

— Nie byla przemeczona, doktorze. Nie sadze tez, zeby sie czymś szczególnie zdenerwowala.

— No coz... — lekarz zrobil z lekka zaklopotana minę.

Lemon nabral powietrza w pluca i zapytal:

— Jaki jest jej stan? Chce uslyszec prawde, doktorze.

Bez owijania w bawelne.

Lekarz spojrzal na niego powaznie i powoli powiedzial: Przykro mi, ale stan jest wciaz krytyczny. To dosyc nietypowy przypadek... coz. Organizm jest mlody i silny, wiec oczywiscie trzeba miec nadzieje. Robimy, co tylko jest w naszej mocy, ale... Niestety, nic wiecej nie moge powiedziec. To, ze jest mloda, ma zreszta tez ujemne strony. Zawal w tym wieku jest najniebezpieczniejszy. To paradoks, ale gdyby byla dwadzieścia lat starsza, bylbym wikszy optymistą.

— Jest ciagle nieprzytomna?

— Tak. Nadal nie odzyskuje przytomnosci. Szczerze mowiac jej przypadek jest bardzo nietypowy. Nie chce sie wdawac w medyczne szczegoly, ale niektore symptomy w ogole nie wystapily, a inne — odwrotnie — wystepujac z rzadko spotykanym natężeniem.

— Rozumiem. Czy moglyby pan jednak spróbować określić jej szanse dokladniej? Czterdzieści procent, dwadzieścia?

— Naprawde nie potrafie.

Lemon zacisnal zęby.

— Niech pan zrobi, co sie da, doktorze — powiedzial cicho.

— Moze pan byc pewien — odpowiedzial powaznie lekarz.

— Za godzinę odbędzie się jeszcze konsultacja z udziałem

profesora Barrowa. To jeden z najwybitniejszych kardiologów w Londynie.

— To dobrze — kiwnął głową Lemon. — Gdybym mógł być w czymś pomocny, będę tu, na korytarzu.

— Ależ nie ma sensu, niech pan idzie się przespać, a rano... — zaczął lekarz.

— Wyrzuci mnie pan?

— Nie, ale...

— To będę tutaj — Jack ruszył w stronę drzwi. — Aha, doktorze, jeszcze jedno. Pan nie wie, co mogło być przyczyną tego ataku?

— Ilość możliwych przyczyn w końcu nie jest taka duża. Utajona choroba, wysięk, przemęczenie, strach — musiało być coś z tego. A może wszystko po trochu.

— Nie sądzę, doktorze — ponuro uśmiechnął się Lemon. — Obawiam się, że — dodał — czeka pana jeszcze kilka medycznych niespodzianek w życiu.

— Nie rozumiem...

— Nic, nic, niech pan nie zwraca na mnie uwagi — machnął ręką Lemon — to teraz nieistotne. Niech pan ratuje Pamelę — powiedział i wyszedł na korytarz. Usiadł na jednym z niewygodnych, pomalowanych na błękitny kolor krzeseł i opuścił głowę. Przed oczami miał ciągle woskowoblada twarz Pameli. W uszach brzmiał mu ciągle jej ciężki, powolny oddech. Bezwiednie zacisnął pięści. On jeden wiedział, że nie było to okrucieństwo losu ani choroba. Musiało to być dzieło mordercy, który poczuł się zagrożony ich poszukiwaniami. Ktoś go o tym zawiadomił, a wtedy on postanowił się dodatkowo ubezpieczyć, usuwając Pamelę.

Dlaczego jednak Pamelę? Przecież to on rozmawiał z ludźmi, on zrobił szum wokół tej sprawy. Chyba morderca nie sądził, że zamach na Pamelę przestraszy jego, Lemona. Więc? Najważniejsze to ustalić, kto mu o tym doniósł — pomyślał Lemon. — Wszyscy ci, z którymi rozmawiałem sam, nie mieli

pojęcia o istnieniu Pameli. Z kim ona rozmawiała o tym? Z sąsiadką pani Mary, ale to nonsens. Ona nie mogła mieć nic wspólnego z mordercą. Niczego nie zyskiwała na śmierci pani Mary. Z kim jeszcze? Tak — Lemon pokiwał głową. — To musieli być oni. Beynamowie. Tylko oni mieli w tym interes i to podwójny. Po pierwsze — morderca usuwając Pamelę zabezpieczał nie tylko siebie, ale i ich, a po drugie — pieniądze nie zostały jeszcze wypłacone. Jeżeli Pamela by ich nie odebrała, to wszystko przypadłoby im.

Lemon poczuł, że ogarnia go dzika wściekłość. Wstał i zapukał do gabinetu lekarza.

— Panie doktorze — powiedział nie przekraczając progu — będę musiał jednak wyjść na mniej więcej dwie godziny. Chciałbym spojrzeć jeszcze na Pamelę przed wyjściem. Tylko sekundę...

Lekarz skinął głową.

— Chodźmy — powiedział.

Poszli razem do pokoju Pameli. Pielęgniarka, która siedziała teraz przy jej łóżku, spojrzała zdziwiona.

— Tylko sekundę — uspokoił ją Lemon. Podszedł do łóżka, patrzył chwilę na Pamelę, która, jeśli to możliwe — wydawała się jeszcze bledsza.

Lekarz dotknął jego ramienia.

- Dziękuję — powiedział Lemon i wyszedł z pokoju. W kilkanaście sekund później siedział już w samochodzie. Był spokojny i opanowany. Ruszył na drugim biegu.

## Rozdział VIII

Roger Holl zakończył wieczorną gimnastykę, którą uprawiał od kilku lat dla utrzymania się w dobrej formie, i usiadł na łóżku. Był zmęczony. Miał za sobą trudny, pełen emocji dzień.

Ambicja podpowiadała mu, że teraz może już niemal wszystko. Jego siła powalała nie tylko starych, osłabionych ludzi, ale pokonała młody, zdrowy organizm. Potwierdziły się też jego założenia teoretyczne — przyłożenie dłoni do pleców po lewej stronie na wysokości serca dawało efekt wzmożony. Upadła jak dźgnięta nożem — pomyślał z dumą. Rozsądek mówił mu jednak, że powinien zdwoić ostrożność. Telefon od Beynama bardzo go zaniepokoił. Oczywiście nikt nie był w stanie nic mu udowodnić, ale istniała zawsze możliwość obciążenia go podejrzeniami. Kto wie, może nawet wytoczenia procesu poszlakowego? No, raczej nie, ale pewne ryzyko istniało. Miał już sześćdziesiąt tysięcy funtów. Nie była to jeszcze co prawda suma, do której dążył, ale wystarczająco duża, żeby przycichnąć na jakiś czas i poczekać, aż wszyscy zapomną o sprawie. Z dziewczyną poszło mu bajecznie łatwo. Nie liczył na takie udogodnienia. Szła sama po wyjściu z biura i właśnie kiedy głowił się, jak do niej podejść, skrzyła w stronę supermarketu. Mogło być lepiej? Nikt nic nie zauważył. Mógł równie niepostrzeżenie podejść do niej, jak i się oddalić. Oczywiście nie miał stuprocentowej pewności, że dziewczyna nie żyje, ale sądząc po piorunującej reakcji — nie miała szans. Holl wyciągnął się na łóżku i splótł ręce nad głową. Tak, stanowczo nie oplaca się mieszać do moich interesów — pomyślał uśmiechając się do siebie. Przytknął oczy, a leciutki półuśmieszek nie schodził mu z twarzy. Zasnął niemal od razu.

Big Ben na odległej wieży westminsterskiej wybijał właśnie drugą trzydzieści w nocy, kiedy Lemon zahamował przed domem Beynamów. Wysiadł, zamknął po cichu samochód i ruszył w stronę drzwi wejściowych. Wchodząc po schodach naciągnął rękawiczki, których używał niekiedy przy prowadzeniu wozu. Tak jak się spodziewał, po pierwszym dzwonku nie

nastąpiła żadna reakcja. Zadzwoił po raz drugi, a kiedy i to nie przyniosło rezultatu, oparł się ramieniem o dzwonek. Po chwili usłyszał wewnątrz jakieś szmery i zza drzwi rozległ się lekko zdenerwowany i poirytowany głos Philipa Beynama.

— Kto tam?

— Telegram do państwa Beynamów, proszę pana.

— Telegram? Chwileczkę...

Do Lemona doszedł oddalający się odgłos kroków, które po chwili powróciły. Zgrzytnęły zasuwę i w uchylonych drzwiach ukazała się głowa Beynama.

— Co za telegram?

Lemon pochylił się lekko do przodu wkładając jednocześnie nogę między drzwi a próg.

— Poznaje mnie pan? — zapytał cicho.

Gospodarz wytrzeszczył oczy, w których, w chwili gdy poznał Lemona, odbił się strach.

— Czego pan chce o tej porze?

— Dobrze wiesz, czego — powiedział przez zęby Lemon, uderzając go pięścią w pierś. Beynam zatoczył się parę kroków w tył, a Lemon wszedł szybko i zamknął za sobą drzwi.

— Co jest?! Jak pan śmie! — Beynam zaczął krzyżeć.

Lemon popatrzył na niego spokojnie spod zmarszczonych brwi, po czym zadał mu mocny cios w żołądek. Beynam zgiął się wół i przestał krzyżeć. Z trudem usiłował łapać oddech. Lemon chwycił go za kark i pchnął do pokoju.

— Nasłałeś mordercę na Pamelę — powiedział zimno. — Z prawdziwą przyjemnością rozwałę ci łeb.

Philip Beynam stał skurczony patrząc pustymi oczami na Lemona.

— To jakaś pomyłka — wykrztusił.

Lemon dosięgnął jego szczęki prawym sierpowym.

Beynam przekościółkował, przewracając po drodze barek i wylądował na dywanie.

— Co ty tam robisz, Philipie? — u szczytu schodów pojawiła się Kate Beynam w narzuconym na ramiona szlafroku.

— Niech pani zejdzie do nas, będzie nam miło — powiedział Lemon.

— To pan? — zapytała zaskoczona. — Co pan tu robi?

— Rozmawiam o mordercy, którego nasłaliście na Pamelę.

Pani domu zeszywniała, zeszła jednak ze schodów.

— Pan jest chyba pijany — powiedziała oschle. — Czy Pamelę coś się stało? — Spostrzegła w tej chwili Beynama usiłującego wstać. — Ależ... co pan zrobił mojemu mężowi?!

— Jeszcze nic. Dopiero zamierzam mu coś zrobić.

— Albo pan się wnyesie, albo natychmiast wzywam policję. To bandycki napad!

— Niech pani wzywa — zgodził się zimno Lemon. — Opowiemy im o wysokim brunecie o wodnistych oczach i bladej cerze. To na pewno ich zainteresuje.

Kate Beynam poblądła i chwyciła się poręczy.

— Pan zwariował! Czego pan chce?

— Jego nazwisko i adres — powiedział krótko Lemon.

— Powtarzam, pan oszalał!

— Ty powiedz — Lemon wyciągnął palec w kierunku jej męża.

Beynam wydał z siebie zduszony pomruk i skoczył do przodu. Był jeszcze nieco zamroczony, więc Lemon z łatwością sparował jego dwa nieporadne ciosy i oburącz uderzył go w żołądek. — Przyjemniej się z tobą rozmawia, kiedy masz kłopoty z oddychaniem — powie dział skulonemu na podłodze Beynamowi.

— To napad! — krzyknęła jego żona i podbiegła do telefonu.

— Powoli — Lemon poczuł, że ogarnia go furia. Wyrzedził



ją, chwycił aparat telefoniczny i rozbił go o ścianę.

— Zatlukę go na śmierć, jeśli nie dowiem się, jak nazywa się ten morderca.

Kate Beynam cofała się w kierunku schodów. Lemon postawił jej męża ostrym szarpnięciem na nogi i uderzył go kilka razy w twarz. Pani domu tymczasem rzuciła się pędem na górę, wpadła do najbliższego schodów pokoju i przekręciła klucz w drzwiach.

— Mów! — Lemon zwinął znowu dłoń w pięść.

— Ty frajerze — wycharczał przez porozcinane wargi Beynam — nigdy ci nie powiem. Zabiłby nie tylko ciebie, ale i mnie. — Lemon znów dosięgnął go sierpowym. Beynam uderzył o ścianę, odbił się i upadł na oparcie kanapy. Wyglądało na to, że stracił przytomność.

Lemon stał chwilę patrząc na niego i rozcierając obolałą dłoń. Po krótkim namyśle odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa. Zbiegł szybko po schodach i wsiadł do samochodu. Ruszył, skręcił w pierwszą przecznicę i następnie zatoczył szeroki łuk, ażeby podjechać w okolice domu Beynamów z przeciwnej strony. Zatrzymał samochód o kilka domów przed ich posesją. Zgasił silnik i wyłączył światła. Rozsiadł się wygodniej i zapalił papierosa, chowając go w dłoni tak, aby żar nie zdradzał jego obecności. Czekał.

Drażniący dzwonek telefonu gwałtownie wyrwał Holla ze snu. Przyłożył dłonie do powiek, potrząsnął głową i spojrział na zegarek. Miał szczególną cechę, z której był dumny — budził się zawsze zupełnie przytomny, niemal bez śladu rozespania. Tak było i teraz, mimo że minęła zaledwie trzecia w nocy. Mruknął coś niecenzuralnego pod nosem i sięgnął po słuchawkę.

— Słucham.

— Pan Holl?

- Tak.
- Mówi Beynam Nie wiem, co pan narobił, ale przed chwilą był tu Lemon.
- Kto?
- Kochanek tej Jones, o której mówiliśmy ostatnio. Zdemolował mieszkanie i oskarżył mnie, że nasłałem na nią mordcę.
- Pan nie mówi za dużo?
- Łatwo panu mówić. Skoczył na mnie z pięściami, o mało mnie nie zabił. Wypytywał o pana.
- O mnie?
- O pana, o pana. Niech się pan nie boi, nie powiedziałem mu nawet słowa. Cud, że wreszcie poszedł.
- Cóż, zajmę się tym.
- Mam nadzieję. Pańskie usługi przysparzają wielu kłopotów.
- Dają też trochę korzyści.
- Nie mówię, że nie. Ale niech pan coś z tym zrobi. Może pan przyjechać teraz? I tak nie zmrużymy już dzisiaj oka.
- Dobrze — powiedział Holl i odłożył słuchawkę. Pokręcił głową niezadowolony, niechętnie odrzucił koldrę, wstał i zaczął się ubierać. Po chwili poszedł do kuchni i przyrządził sobie kilka kanapek. Jazda nocna po Londynie z pustym żołądkiem byłaby już przesadą. Nie chciało mu się robić herbaty, zadowolili się więc szklanką mleka. Po dwudziestu minutach był gotów do wyjścia. Poprawiał właśnie krawat przed lustrem, kiedy nagle uderzyła go pewna myśl. Zmarszczył brwi i pochylił głowę z namysłem. Jeżeli ten Lemon tak chciał się dowiedzieć czegoś o mnie, że ryzykował wtargnięcie nocą do cudzego domu i wielką awanturę, to dlaczego sobie poszedł nie dowiedziawszy się niczego? Oczywiście mógł być zwykłym furiatem i być może chodziło mu tylko o wyładowanie emocji, ale jeżeli

nie? Może wywołał awanturę celowo, tylko po to, żeby postraszyć Beynama, co nie jest takie trudne. Wiadomo, że ten zaraz zadzwoni do mnie i będzie się chciał ze mną zobaczyć, i pewnie namówić do działania. Niewykluczone, że albo ja zaraz do niego przyjadę, albo on przyjedzie do mnie. Tak... sprytny chłopczyk. Usiadł na łóżku i sięgnął po notes. Odnalazł numer Beynama i Wziął do ręki słuchawkę. Gospodarz już po drugim sygnale odebrał telefon.

— Nie będę mógł przyjechać teraz — powiedział Holl. — Wysiadło mi sprzęgło w samochodzie. Przyjadę w dzień, przypuszczam, że koło południa. Niech pan się wyśpi, też to panu dobrze zrobi.

— Mogę przyjechać do pana albo po pana — zaproponował Beynam.

— Przykro mi, ale to niemożliwe. Niech pan trochę pomyśli, nie uważa pan, że powinniśmy kontaktować się dyskretnie?

— Hmm...

— Do jutra — powiedział Holl i położył słuchawkę. Pomyślał jeszcze chwilę, po czym wstał i wyszedł z mieszkanie starannie zamykając za sobą drzwi. Po kilku minutach wyprowadził samochód z garażu, wykręcił i pojechał w stronę Beynamów.

Lemon czekał już przeszło pół godziny. Wypalił pięć papierosów i czuł po nich obrzydliwe odrętwienie w ustach. Chciało mu się pić i był głodny. Ogarniała go coraz większa senność. Co jakiś czas przecierał mocno zaczerwienione oczy, ale zabieg ten jakoś nie przynosił pożytku. Mimo to starał się zachować jak największą ostrożność. Nie włączył nawet radia, a szybę w samochodzie odkręcał tylko na chwilę po każdym papierosie, żeby się nie udusić. Nie chciał, żeby jego wóz różnił się cokolwiek od kilku innych samochodów, stojących na tej uliczce. W pewnej chwili usłyszał cichy szum silnika.

Błyskawicznie zsunął się z siedzenia, wystawiając do góry tylko część głowy. Zobaczył granatowego opła, sunącego powoli naprzeciwko. Wstrzymał oddech, kiedy samochód przejeżdżał koło domu Beynamów. Granatowy opel nie zatrzymał się jednak. Powoli jechał dalej. Gdy zbliżył się do Lemona, ten na wszelki wypadek skrył się jeszcze bardziej, tak że nad brzeg okna samochodu wysunięte było tylko jedno oko. Na chwilę oślepiły go światła, po czym opel minął go majestatycznie. Jego kierowcę najwyraźniej także interesował samochód Lemona. W mroku zamajaczyła na chwilę jego twarz i przymrużone oczy. Nie zauważył Lemona, a w każdym razie nic na to nie wskazywało. Pojechał dalej nie zmieniając szybkości. Po chwili skręcił za rogiem.

I co ja mam zrobić? — mruknął do siebie Lemon — storpedować pewnie Bogu ducha winnego człowieka? Hm, jeżeli to ten facet, tyle że taki ostrożny, to zrobi koło i wróci pod dom Beynamów. Cholera! — jęknął w duchu — mogłem przecież zapisać jego numer! Niech go szlag?

Podniósł się ostrożnie z niewygodnej pozycji i usiadł za kierownicą.

— No nic, czekałem tyle, mogę poczekać jeszcze — mruknął zrezygowany. Po czterdziestu minutach oczekiwania miał już dość. Coraz bardziej chciał być przy Pameli, a nie siedzieć bezczynnie na pustej, ciemnej ulicy. Zdecydowanym ruchem włączył silnik.

Holl wrócił do domu przed piątą rano. Tym razem chyba przesadził w ostrożności, nie był z tego jednak niezadowolony. Wyznawał zasadę, że lepiej dziesięć razy być zbyt ostrożnym, niż raz za mało. Do Beynamów jechał pełen złych przeczuć. Dokładnie spenetrował wszystkie miejsca, z których można było obserwować dom. Nikt nie siedział w żadnym samochodzie, nie zauważył też nikogo ukrytego za drzewem czy rogiem

domu. To dobrze. Pojechał tam przede wszystkim po to, by przekonać się o klasie przeciwnika. Jeśli byłby tam — świadczyłoby to o jego sprycie, inteligencji i operatywności. Znaczyłyby, że umiał realizować przebiegłe plany i zastawiać pułapki. Byłby groźny i trzeba by go wówczas usunąć szybko i wszelkimi środkami. Taki człowiek mógł mu zaszkodzić. Ten jednak popadł najwyraźniej w bezmyślną rozpacz i wściekłość. Nie układał planów, nie działał chytrze. Wyładował po prostu swoją złość i poszedł do domu. Albo do baru — co prawdopodobniejsze.

Holl był zadowolony z tego rekonesansu. Przekonał się o przeciętności przeciwnika, a sam niczym nie ryzykował. Było ciemno, możliwości rozpoznania — żadne. Numery rejestracyjne na wszelki wypadek jeszcze w garażu przybrudził zwilżonym popiołem z kominka. Były niemal zupełnie nieczytelne. Oczywiście istniała też możliwość, że ten człowiek był tam, a on go nie zauważył. Wydawało mu się to jednak mało prawdopodobne. Być może tamten starałby się ukryć, gdyby on. Holl, zatrzymał się przed domem Beynamów. Ale dlaczego miałby się chować przed normalnym, przejeżdżającym przez ulicę samochodem? Nie, stanowczo było to wątpliwe.

Nie demonizujmy tej postaci — pomyślał Holl — tylko dlatego, że spełniła dobry uczynek i dała tej gnidzie Beynamowi po gębie. — Roześmiał się cicho. Beynam bał się go. Ilekroć z nim rozmawiał, nadymał się, puszył, ale szybko godził się na wszystko, co mu powiedział. Hollowi bardzo to odpowiadało. A z tym Lemonem — pomyślał — można jeszcze zaczekać. Trzeba mu się dyskretnie przyjrzeć, zobaczyć, co robi. Krewki kochaś, he, he. Udowodnił tylko, że ta dziewczyna nie żyje. Holl wyciągnął się na łożku i ziewnął. — No, pracowałem dziś na nocną zmianę — mruknął do siebie i zgasił światło. Jak zwykle — zasnął niemal natychmiast.

Jack Lemon wchodząc do szpitala wyglądał raczej na pacjenta, niż odwiedzającego. Silnie zaczerwienione oczy okalała sinawa obwódka, a na bladej twarzy wyraźnie rysował się niegolony od wczoraj zarost. Wymięta koszula i pobrudzone spodnie dopełniały niezbyt pociągającego obrazu. Dopiero podjeżdżając do szpitala uświadomił sobie, że w czasie jego nieobecności Pamela mogła umrzeć. Myśl ta przeszła go od stóp do głów. Tknięty przerażającym przeczuciem wbiegł do budynku. Portierowi na jego widok oczy zrobiły się okrągłe jak spodki. Oprzytomniał jednak szybko i ruszył groźnie w stronę Lemona.

— Pan do kogo?

— Co? — Lemon przystanął zaskoczony. Spostrzegł portiera dopiero wtedy, gdy ten stanął przed nim i zadał pytanie.

— Do kogo? — powtórzył portier zagradzając mu drogę.

— Do lekarza dyżurnego...

— Teraz nie ma przyjęć.

— Ja w sprawie prywatnej.

— Proszę poczekać — portier zabierał się do telefonowania, kiedy weszła dyżurna pielęgniarka.

— Ach, to pan — powiedziała patrząc na Lemona.

— Co z Pamelą? — zapytał Lemon wpatrując się w pielęgniarkę z natężeniem i jednocześnie mrużąc oczy, jakby spodziewał się otrzymać cios.

— Bez zmian. Lekarz mówi, że jeśli wytrzymała tak długo, to jej szanse rosną.

Lemon odetchnął głęboko i przymknął na chwilę oczy. Podziękował w duchu niebiosom i podniósł wzrok na pielęgniarkę.

— Wygląda pani zupełnie fantastycznie w tym fartuszk — powiedział. — Na miejscu pani męża nie wypuszczałbym pani w ogóle z domu. To dla niego straszne ryzyko.

— No, proszę — uśmiechnęła się pielęgniarka. — A nie wygląda pan na podrywacza.

— Faktycznie — Lemon potarł zarośnięty policzek — ale niech pani nie sądzi po pozorach. Bardzo zyskuję przy bliższym poznaniu.

— Zyskałby pan po kąpieli — odcięła się pielęgniarka.

— Jest pani cudowna — powiedział Lemon. — Mogę wejść do lekarza?

— Proszę, tylko na krótko. Od szóstej będzie zajęty.

Lemon puścił oko do portiera, przysłuchującego się z boku ich rozmowie i wszedł na schody.

Lekarz siedział w swoim gabinecie. Bezsenna noc i na jego twarzy pozostawiła ślady, choć w porównaniu z Lemonem wyglądał, jakby przed chwilą wstał z łóżka po ośmiu godzinach snu.

— Rozmawiałem z pielęgniarką — powiedział Lemon. — — Mhm — lekarz uśmiechnął się lekko — wydaje się, że jest małeńka poprawa. Poza tym muszę panu powiedzieć, że profesor Barrow daje jej trochę więcej szans niż ja. A teraz — spojrzał na zegarek — można powiedzieć, że przeżyła noc. Nadzieje zwiększają się wraz z porankiem.

— Pan jest poetą, doktorze — zauważył Lemon.

— Kto o tej porze nie jest poetą? — uśmiechnął się lekarz.

— Paru takich znam.

— No, to już wina pańskich znajomości.

— Pozwoli mi pan ją zobaczyć?

— Panu nie wystarczy, że już raz zламаłem przez pana przepisy?

Lemon pokręcił głową.

— Ja o niczym nie wiem. Czasem, jak ktoś trochę uchyli drzwi, to widać łóżko, a ci, co są w środku, mogą nie zwrócić uwagi. U nas drzwi nie skrzypią — westchnął lekarz.

Pamela leżała ciągle w takiej samej pozycji. Bładość jej twarzy stała się jakby mniej przezroczysta, a oddech jakby trochę

lżejszy. Lemon patrzył na nią, a kiedy poczuł, że oczy mu wilgotnieją, odwrócił się i zamknął ostrożnie drzwi. Lekarz dyżurny stanął koło niego.

— Będzie żyła, doktorze — powiedział z przekonaniem Lemon.

— Mam nadzieję — pokiwał głową lekarz. — Wszyscy mamy nadzieję. Ale, ale — przyjrzał się krytycznie Lemonowi — pan też chce zostać naszym pacjentem?

— Robię, co mogę — mruknął Lemon.

— Nie wątpię — zgodził się lekarz. — Pierwsze efekty już widać.

Lemon uściśnił mu rękę na pożegnanie i wyszedł ze szpitala. Słońce już weszło. O dziwo, nie było ani mgły, ani deszczu. Tak trzymać — powiedział Lemon matce naturze i wsiadł do samochodu.

Kiedy Jack Lemon dotarł wreszcie do swojego mieszkania, musiał użyć wszystkich sił woli, aby oprzeć się pragnieniu rzucenia się jednym skokiem na tapczan. Zamiast tego nastawił czajnik i poszedł do łazienki. Przez dziesięć minut torturował swoje ciało na przemian zimnym i gorącym prysznicem. Później ogolił się starannie, przygotował sobie duże śniadanie i zaparzył mocną kawę. Kiedy po dwudziestu minutach zapalił papierosa, był innym człowiekiem.

— No, możemy boksować dalej — mruknął. Pomyślał, że wreszcie chyba czas porozmawiać z inspektorem Calderem. Cokolwiek by powiedzieć, oprócz domysłów i teorii, udało mu się też zebrać parę faktów. Obecność tego samego człowieka w miejscu śmierci kilku kobiet, słowa Beynama i jego zachowanie, a także to, że nie wezwał policji — to było już coś. Jeżeli dodać do tego wypadek Pameli — sprawa stawała się jasna. Zgony kobiet nie mogły być naturalne. Oby policja była tego samego zdania. Zadzwoił do inspektora Caldera i umówił się



z nim na spotkanie za pół godziny. Zapalił drugiego papierosa i wyszedł z mieszkania.

Inspektorowi Calderowi zostało do emerytury już tylko pół roku. Był czerstwy, trzymał się prosto i z wyglądu sprawiał wrażenie raczej wojskowego w cywilu niż inspektora policji. Służył w policji od tak dawna, że sam ledwie pamiętał początki. Nie zrobił błyskawicznej kariery. Był powszechnie lubiany, ceniony za rzetelność, inteligencję, odwagę i cierpliwość, lecz w jego długiej pracy niewiele było spektakularnych sukcesów, o których rozpisywałyby się prasa, i genialnych posunięć, które wprawiałyby w podziw przełożonych. Giles Calder z czasem nauczył się zadowalać tym, co miał i jakimś cudem udało mu się nie zgorzknieć, mimo iż wielu jego kolegów, nawet młodszych, zaszło znacznie wyżej niż on.

Miał jedną wadę, która — jak sam sobie z tego zdawał sprawę — opóźniała zawsze jego poczynania i krępowała ruchy. Był przeczulony na punkcie sprawiedliwości i obiektywizmu. Wtedy gdy jego koledzy czepiając się najsłabszej poszlaki czy cienia dowodu maltretowali podejrzanych krzyżowym ogniem pytań, stosowali różne tricki i podstępny, on starał się wszystko robić tak, by nie wyrządzić podejrzanemu żadnej krzywdy — na wypadek, gdyby okazał się niewinny.

Nic dziwnego, że przy takim — nietypowym jak na policjanta — stosunku do przesłuchań, śledztwa prowadzone przez Caldera ciągnęły się długo, a on sam zmuszony był do wysłuchiwania licznych ponagleń i cierpkich uwag. Metoda ta miała jednak i dobre strony — przed sądem stawał w końcu właściwy człowiek, a przedstawiony mu materiał dowodowy był zawsze kompletny, spójny i nie do obalenia. Raz tylko zdarzyło się, że sąd uniewinnił aresztowanego przez Caldera człowieka. Było to

na początku jego kariery — i nie pozostało bez wpływu na dalsze jego losy.

Siedział teraz za biurkiem w swoim służbowym pokoju, obracał powoli trzymaną w rękę zapalniczkę i lekko przymrużonymi oczyma patrzył na Lemona, który od pół godziny opowiadał mu swoją historię. Chłopak był w nie najlepszej formie: blade, z podkrążonymi z niewyspania oczami, palił nerwowo piątego już chyba papierosa. Lemon był synem jego dawnego przyjaciela i odziedziczył po nim rzutkość i inteligencję. Calder uważał, że jest on może nieco zanadto rozleniwiony i odrobinę zblazowany, ale nie były to wady, do których przywiązywał wielką wagę. Opowiadał teraz przedziwną historię o mocno fantastycznym zabarwieniu, ale inspektor tyle razy stykał się z wypadkami, które pozornie wydawały się możliwe tylko we śnie wariata, że i tym razem powstrzymał sceptyczny uśmiech. Kiedy Lemon doszedł do wypadku swojej narzeczonej, Calder zrozumiał wzburzenie i zaangażowanie chłopaka. Przez starą znajomość uznał, że i jego ta sprawa w pewnym sensie dotyczy osobiście. Lemon skończył wreszcie, zapalił kolejnego papierosa i spojrzał wyczekująco na inspektora. Ten skrzywił się lekko, potarł wskazującym palcem czoło i wreszcie odezwał się:

— Hmm... Przykro mi, że przy pierwszym telefonie zbyłem cię niczym. Być może dałoby to coś, gdybym w jakiś sposób włączył się do tej sprawy. Tak... z drugiej strony oczywiście nie miałem żadnych podstaw, a twoje podejrzenia wyglądały na nieco naciągane... No, zostawmy to. W twoim opowiadaniu dostrzegłem dwa wątki — realistyczny i powiedzmy... — uśmiechnął się lekko — mniej realistyczny. Zajmijmy się najpierw tym pierwszym. Stwierdziłeś, używając bardzo zręcznych metod, muszę przyznać — że w kilku przypadkach koło umierających kobiet kręcił się ten sam czy też tak samo wyglądający człowiek. Trudno przypuścić, by tak często zmieniał zawody,

możemy więc przyjąć też, że za każdym razem podawał się i przebierał za kogoś innego. Stwierdziłeś też — chociaż umówmy się lepiej, że nie wiem, w jaki sposób, bo musiałbym cię zamknąć — że państwo Beynam mają nieczyste sumienie i boją się badania tej sprawy przez policję. Musisz pamiętać, że możliwe jest inne wyjaśnienie — państwo Beynamowie z zupełnie nie związanych z tą sprawą przyczyn mogą obawiać się policji.

Dalej — twoja narzeczona nagle i zupełnie niespodziewanie dostała ataku serca, który był też przyczyną śmierci wszystkich poprzednich kobiet. To są fakty. Teraz wątek, który pozwoliłem sobie nazwać mniej realistycznym. Naturalną kolejną rzeczą, domyślając się, kto i kiedy zabijał (choć ciągle nie masz dowodu, że zabijał), zacząłeś się zastanawiać — jak. Tu jednak popełniłeś błąd, po bardzo bowiem powierzchownym przesłuchaniu — to znaczy, rozmowach — poprawił się z uśmiechem — rozpatrywałeś możliwe sposoby zabójstwa tak, jak gdyby wszystkie szczegóły były ci dobrze znane. Podstawę do sensownych rozważań na ten temat mogłoby dać ci tymczasem dopiero wielokrotne, gruntowne przesłuchanie wszystkich związanych z tym wydarzeniem osób oraz oczywiście — wyniki sekcji wszystkich ciał.

Lemon bezradnie rozłożył ręce.

— Oczywiście — inspektor zrozumiał ten niemy wyrzut — wiem, że nie miałeś takich możliwości, że występowałeś jako osoba prywatna i tak dalej. Fakt faktem — jeśli pominąłeś w swoim śledztwie tak ważny etap, to nie można się dziwić, jeśli dojdiesz do fałszywych wniosków. Zbadałeś — i to powierzchownie — tylko jedną możliwość: zabójstwo przez otrucie. W tym wypadku zgadzam się z odrzuceniem tej hipotezy. Ja też nie znam trucizny, która dawałaby takie objawy, ale pewność mogła by dać tylko sekcja zwłok. Następna twoja hipoteza — jak się zapewne domyślasz — budzi we mnie znacznie większe

zastrzeżenia. Nie mówię, że to szaleństwo, bo widziałem już parę rzeczy równie na pozór nieprawdopodobnych, aie musisz zdać sobie sprawę, że jest to czysta, na niczym nie oparta teoria.

— Niezupełnie na „niczym” — wtrącił Lemon.

— Owszem, na zdawkowych relacjach kilku osób o zachowaniu się tego człowieka i twojej intuicji.

— Rozmawiałem też z fachowcem z tej dziedziny. Potwierdził realność tej teorii.

— Fachowcem? — powątpiewająco skrzywił się inspektor.  
— Cóż, być może. Ale nadal nie daje ci to nawet najsłabszego dowodu, że ten ktoś posłużył się tak niezwykle metodą.

— Zgoda — kiwnął głową lekko zniechęcony Lemon — ale Pamela?

— Tak, twoja narzeczona... Szczerze mówiąc, nie mam w tej sprawie zdania — ostrożnie stwierdził inspektor — trzeba by opinii specjalistów, rozmowy z nią samą — może to by coś dało. Nie mówię, że tak było w tym wypadku, aie sam wiesz, że czasem najzdrowszych pozornie ludzi powala nagle choroba

— No dobrze, każdy z tych wypadków z osobna można jakoś naturalnie wytłumaczyć. Ale wszystkie naraz?

Calder uśmiechnął się lekko. Chłopak był uparty, a do obrony swojej teorii zręcznie dobierał argumentację

— Sam siebie o to pytam, Jack — przyznał. — Rzeczywiście, jeśli zdarzają się trzy rzeczy, które można wytłumaczyć przypadkiem, to jeśli złączyć je w całość, przypadek — jako wytłumaczenie — staje się nieco wątpliwy.

— Właśnie — wpadł mu w słowo Lemon. — Jeżeli wy, to znaczy policja, nie wdrożycie śledztwa nawet teraz, to widocznie potrzeba wam do tego trupa ze sterczącym w piersiach nożem i zeznań pięciu wiarygodnych świadków, że to nie było samobójstwo.

—Powoli — obruszył się nieco inspektor. — Jesteś dosyć nerwowy, mój drogi. Kto jak kto, ale Temida nie lubi pośpiechu.

—Temidzie nie próbują zamordować dziewczyny — rzucił sarkastycznie Lemon.

—Hm! — Caldera zirytował ten argument, ale spojrzał na zmęczoną twarz Lemona i jego wzrok złagodniał. — Powoli, Jack — powtórzył. — Nieco więcej cierpliwości. Myślę, że po tym, co mi powiedziałeś, będę mógł rozpocząć śledztwo. Na razie będę musiał ograniczyć się do przesłuchań — zezwolenie na ekshumację i sekcję to poważniejsza sprawa — ale to też już coś. Przepytamy dokładnie rodziny zmarłych kobiet, poznamy wszystkie szczegóły, przyjrzymy się spadkobiercom i to da nam już jakiś pogląd na sprawę.

— A morderca będzie tymczasem działał spokojnie dalej?

—Nie sądzę. Po tym, co zrobiłeś u Beynamów, będzie chciał wyciszyć sprawę. Jeśli istotnie ma na sumieniu, tak jak mówisz, co najmniej cztery morderstwa, to przypuszczam, że zrobił na nich dostatecznie dużo, żeby jakiś czas przeczekać i nie wystawiać się na niepotrzebne ryzyko. Chyba że... — zawahał się lekko — chyba że zdecyduje się pozbyć ciebie. To, niestety, dosyć prawdopodobne.

— Czułbym się zaszczycony — mruknął Lemon.

—Nie bądź taki pewny siebie. Jeżeli jest to wielokrotny morderca, to już postara się o taką sytuację, która zapewni mu minimum ryzyka i maksimum szans na powodzenie.

—Cóż z tego? Wiesz już przecież wszystko.

—Tak — uśmiechnął się smutno inspektor — ale on o tym nie wie. Dla niego wciąż możesz być jedynym źródłem zagrożenia. Wolałbym, żebyś pamiętał o tym i uważał na siebie.

—Okay, będę na siebie uważał, zaczniście tylko wreszcie śledztwo.

— Zrobię, co się da.

— Ja też — mruknął Lemon i pożegnał się z inspektorem.

Wracając do domu myślał o tym, jak wielką przewagę ma nad policją przestępca. Kierują nim zawsze subiektywne względy, działa często pod wpływem nagłego impulsu, pomyślnie. Jest szybki i bezwzględny. A policja bada jego przestępstwa powoli, sili się na obiektywizm, szuka drobnych poszlak, szczegółów. No, w końcu musi być jakaś różnica między nimi — pocieszył się wreszcie. — Nie rozumiem jak, ale w końcu Scotland Yard łapie czasem jakiegoś przestępcę.

Wczesnym popołudniem Randall umówił Lemona na spotkanie z Adalbertem Spencerem. Lemonowi pozostało jeszcze trochę czasu, postanowił więc wykorzystać go na pogłębienie swej wiedzy z dziedziny bioenergetyki, o której miał dosyć mizerne pojęcie. Rozważał przez chwilę pomysł udania się do biblioteki, zrezygnował jednak, wybierając prostszą drogę. Pojechał do redakcji i zamówił wycinki prasowe zawierające wszystko, co w ciągu ostatnich dwóch lat napisano w gazetach o tych sprawach.

— Powierzchnownie, ale dużo — mruknął, kiedy archiwista wręczył mu pięć pękatek plastikowych tacek.

— Będziesz pisał rozprawę doktorską? — zapytał złośliwie, widząc, że Lemon otwiera pierwszą teczkę.

— Nie, pracę maturalną — burknął Lemon.

— Lepiej późno niż wcale — odciął się archiwista i zostawił Lemona samego.

Najtrudniejszym zadaniem było oddzielenie ziarna od plew. Temat ten, jak wynikało z dat, pojawiał się niezmiennie co roku, około połowy czerwca i królował na łamach — obok UFO i potwora z Loch Ness — do końca sierpnia. Roilo się wówczas

od doniesień o cudownym dziecku z Chelsea, które łamie łyżeczki siłą woli, o nowych uzdrawiaczach, jasnowidzach, przepowiadaczach i ludziach najróżniejszego autoramentu, którzy opowiadali o swoich niezwykłych zdolnościach.

Najczęściej — co Lemon jako fachowiec poznawał na pierwszy rzut oka — były to zwykłe kaczki dziennikarskie, wypuszczone całymi stadami w ogórkowym sezonie dla ożywienia pustych w tym okresie szpalt. Gdzieniegdzie jednak zdarzały się też artykuły poważniejsze. Przedstawiano dowody, snuto teorie, próbowano z wielkim trudem i tysiącami zastrzeżeń budować zręby nowej nauki. Te publikacje Lemon wybierał i studiował dokładnie z rosnącym zainteresowaniem. Po dwóch godzinach wiedział już sporo o tzw. paranaukach. Przyswoił sobie podstawowe pojęcia, poznał najgłośniejsze nazwiska i najbardziej znane fenomeny. Przeczytał też o Adalbercie Spencerze. Nie uchodził za najwybitniejszego bioenergoterapeutę dwudziestego wieku, ale z pewnością należał do ścisłej czołówki. Jego nazwisko, choć znane wszystkim fachowcom, było jednak mniej głośnie, głównie ze względu na metodę pracy, ograniczającą znacznie liczbę pacjentów. Spencer nie próbował leczyć krótkim, trwającym kilka sekund dotknięciem, jak Cliff Harris, nie uznawał też leczenia grupowego przez tworzenie łańcuchów bioenergetycznych. Jego metoda bliższa była metodzie gruzińskiej bioenergoterapeutki Kułaginy czy Olgi Warrel, które poświęcały jednemu pacjentowi znacznie więcej czasu. Nie miał kilku seansów leczniczych z rzędu, twierdził, że dwa dziennie to granica jego możliwości, że i tak czuje się po nich wyczerpany jak stara bateria w latarce. Spencer miał jednak duże osiągnięcia. Skutecznie leczył — jak wynikało z wy-cinków — co najmniej trzy na pięć przypadków. Bóle kręgosłupa, silne, uporczywe migreny, nerwice układu wegetatywnego były jego specjalnością. Próbował też zмагаć się z najpotężniejszym wrogiem — z rakiem. Na kilkadziesiąt podjętych prób

— zawsze w wypadkach uznanych przez medycynę za bezna-  
dziejne — trzy uwieńczył sukcesem.

Dopiero czytając o kłopotach, z jakimi borykali się wszyscy  
ci, którzy chcieli się do niego dostać, Lemon docenił należycie  
pozycję Randalla i jego możliwości.

Jack uznał, że wreszcie dowiedział się dostatecznie dużo,  
złożył wycinki, nie bez trudu zamknął pękate teczkę i zwrócił je  
archiwście.

Jack Lemon pojechał jeszcze do szpitala, lecz tym razem  
mógł zobaczyć Pameli. Trwała akurat kolejna konsultacja i  
pielęgniarka zagroziła mu drzwiami, tłumacząc, że gdyby teraz  
wszedł, jego wyrzuciliby za drzwi, a ją z pracy. Lemon zrezy-  
gnować upewniając się tylko, że nie nastąpiło żadne pogorsze-  
nie, a konsultacja nie jest niczym niezwykłym, zwłaszcza w tak  
trudnym przypadku.

Z ciężkim sercem pojechał do Randalla na spotkanie z Ad-  
albertem Spencerem. Bioenergoterapeuty jeszcze nie było.  
Randall wprowadził Lemona do znanego mu już pokoju.

— Nie wyglądasz najlepiej — zauważył, spoglądając na nie-  
go uważnie.

— Moja dziewczyna, Pamela, leży w szpitalu. Ma ciężki za-  
wał serca.

Randall syknął wciągając głęboko powietrze.

— Przykro mi, stary — mruknął, nie bardzo wiedząc, co po-  
wiedzieć. — Ale zawał u młodej dziewczyny? Myślałem, że to  
się zdarza bardzo rzadko.

— Słusznie. Pamela była zdrowa i nigdy nie narzekała na  
serce. Oczywiście nie mam dowodów, ale jestem pewien, że to  
ten sukinsyn. Nie ma żadnego innego rozsądnego wytłumacze-  
nia.

— Gdzie to się stało?

— W supermarkecie. Karetka zabrała ją do szpitala. Wszystko



wyglądało naturalnie, przynajmniej nikt nie mówił, że zauważył coś podejrzanego.

— I jesteś pewien, że była zdrowa?

— Nigdy nie skarżyła się na serce, nigdy nie słyszałem, żeby się na coś leczyła. Zresztą — Lemon machnął ręką — graliśmy często razem w tenisa, pływaliliśmy. Miała nie gorszą kondycję ode mnie.

— W jakim jest stanie?

— Sam nie wiem... Jest nieprzytomna, pod namiotem tlenowym i tak dalej: Lekarze uwijają się przy niej, ale mówią same ogólności. Nie znam się na medycynie. Dowiedziałem się tylko, że zawał w tym wieku jest bardzo niebezpieczny.

Randall kiwnął głową.

— Domyślam się, że masz coraz większą ochotę znaleźć tego człowieka. Gdyby twoja dziewczyna była przytomna, może mogłaby coś wyjaśnić.

— Może...

Zabrział dzwonek do drzwi wejściowych. Randall podniósł się, wyszedł i po chwili do Lemony dobiegł odgłos otwieranych drzwi. Usłyszał krótką wymianę zdań i u progu stanął Adalbert Spencer. Lemon widział jego fotografie w gazetach, jednakże w naturze Spencer wyglądał nieco inaczej. Był niezbyt wysoki i szczuplejszy, niż Lemon się spodziewał: Mógł mieć czterdzieści parę lat. Na fotografiach miał zwykle skupiony, poważny wyraz twarzy i surowe oczy. Teraz był pogodnie uśmiechnięty. W tweedowej marynarce i golfie wyglądał raczej na inżyniera czy dyrektora średniego szczebla, który wpadł do znajomego na drinka.

Spencer przywitał się przyjaźnie z Lemonem i usiadł w sąsiednim fotelu. Jedyną niezwykłością w tym spotkaniu było to, że na stoliku zamiast ginu, whisky czy piwa stała coca-cola i woda mineralna.

— Tom zreferował mi pańskie teorie — odezwał się Spencer.

— Rozmawialiśmy krótko, więc coś mogę zanadto uprosić, ale

rozumiem, że pan uważa, że możliwe jest uśmiercenie za pomocą swego rodzaju wstrząsu bioenergetycznego?

— Niezupełnie. Nie czuję się kompetentny do stwierdzenia, że jest to możliwe. Ja twierdzę, że ktoś zabija tak, że tylko tym można wytłumaczyć śmierć jego ofiar.

Spencer pokręcił głową.

— Tak, Tom mówił mi o tym — uśmiechnął się lekko.

— Al — odezwał się szybko Randall — doszła pewna nowa okoliczność. Dziewczyna Jacka, młoda i zdrowa, dostała nagle ataku serca. Leży nieprzytomna, w ciężkim stanie w szpitalu. Jack nie sądzi, żeby to był zbieg okoliczności.

— Ach, tak... — Spencer spowaźniał nagle i spojrzał uważniej na Lemona. — Bardzo mi przykro.

— To nie zmienia innych faktów — powiedział Lemon. — Tyle tylko, że jest to teraz moja sprawa osobista. Proszę jednak uwierzyć — zwrócił się do Spencera — że mimo to nie staram się naciągać faktów do teorii. Sam czuję się niezbyt poważnie, trzymając się tego pomysłu, ale proszę zrozumieć — z tego, co wiem, żadne inne, bardziej typowe rozwiązanie, nie wchodzi w rachubę.

— Sądzisz, że to niemożliwe? — zapytał Spencera Randall.

— Oduczyłem się mówić, że coś jest niemożliwe — smutno uśmiechnął się Spencer. — I pamiętajcie, że są dwie różne sprawy — czy prawdopodobna jest sama teoria, czy też realizuje się ona w tym, konkretnym przypadku. Jeżeli chodzi o samą teorię, to jestem skłonny zgodzić się, że wcale nie jest absurdalna. Do jej realizacji potrzeba jednak wielu rzeczy. Po pierwsze — osobnika obdarzonego bardzo dużymi możliwościami bioenergetycznymi. Po drugie — wypracowania pewnych metod, którymi trzeba się posługiwać, chcąc w ogóle nadać swoim siłom kierunek. Po trzecie — wielu doświadczeń, żeby uzyskać pewność co do skuteczności działania. Bzdurą jest zatem

przypuszczenie, że można po prostu stwierdzić przypadkiem, że dysponuje się jakimiś niezwykłymi siłami i od razu zacząć je wykorzystywać. To nie jest takie proste. Do tego potrzeba całych lat prób i doświadczeń.

— Sądziś więc, że teoretycznie tak mogłoby być, ale wątpisz, że dzieje się tak w tym przypadku? — zapytał Randall.

— Tak, tak bym to ujął.

Lemon smutno pokiwał głową.

— A jakie tu można zdobyć dowody? Wszystko rozgrywa się przecież szybko, a dalej proces toczy się naturalnie.

— Oczywiście — zgodził się Spencer — nie chciałbym, żeby wziął mnie pan za niedowiarka. Wiem, że w tych sprawach trudno o dowody. A co na to policja?

— Przynajmniej, że to dziwne, ale oczywiście moje pomysły uważa za bzdury.

— Wdrożą śledztwo?

— Tak, ale, jeśli dobrze zrozumiałem, na małą skalę.

— Zostawmy policję — odezwał się Randall. — Mam pewien pomysł, który — mimo twoich zastrzeżeń, Al — warto chyba zrealizować, choćby po to, żeby nie mieć wyrzutów sumienia, że się coś zaniedbało. Wspomniałem już o nim Jackowi, ale chciałbym wiedzieć, co ty o tym sądzisz...

Spencer skinął głową na znak zgody.

— Jak sam powiedziałeś, Al, jeżeli ktoś taki istnieje i działa tak, jak sądzi Lemon, to nie wypadł krocie spod ogona. Kiedyś, gdzieś, musiał odkryć, że ma ponadnormalne możliwości...

Spencer powtórnie skinął głową.

— Co mógł zrobić? — kontynuował Randall, — Jest niemal oczywiste, że skontaktowałby się z Towarzystwem Bioenergoterapeutycznym lub z którąś z pokrewnych organizacji. Dalej, jeżeli dziś potrafi zabijać, to już wówczas musiał odznaczać się

nieprzeciętnymi możliwościami. Jeżeli więc nawet wystąpił z towarzystwa, gdy nauczył się metod i technik, to ktoś musi go pamiętać. Jack dysponuje całkiem szczegółowym opisem tego człowieka. Sądzę, że powinniśmy poszukać w naszym środowisku, Al. Jeżeli Jack ma rację, to ktoś musi go sobie przypomnieć.

— Niegłupio... — mruknął Spencer. — To, co mówisz, brzmi logicznie. Ale jeszcze jedno — spojrzał na Lemona — mam wielką nadzieję, że pana narzeczona odzyska przytomność. Kiedy będzie mogła mówić, w jednej chwili rozwieje lub potwierdzi nasze domysły.

— A jeśli nie zdawała sobie z niczego sprawy?

— Raczej niemożliwe. Zresztą — wystarczy, że poznam jej relację. Nawet jeśli ona nie będzie pewna, czy to była próba morderstwa, to ja będę mógł rozstrzygnąć po jej opisie, czy bioenergia miała w tym przypadku zastosowanie.

— Okay — Lemon podniósł się z fotela. — Przepraszam, ale na mnie już czas. Pojadę do szpitala. Chciałbym jeszcze prosić, żebyście panowie, jeśli to możliwe, zaczęli pytać o niego już teraz. Jest to wysoki, dość szczupły brunet około trzydziestki, ma bladą cerę i jasnoniebieskie oczy.

— Moment — Randall zapisał cechy poszukiwanego w notesie. — Dobrze — powiedział. — Też myślę, że nie powinniśmy tracić czasu.

Obaj mężczyźni wstali i wymienili z Lemonem mocny uścisk dłoni. Przy pożegnaniu ze Spencerem Lemon poczuł lekki dreszcz i mrowienie rozprzestrzeniające się z dłoni na resztę ciała. Uśmiechnął się lekko i spojrzał na Spencera.

— Na razie trzymam się jeszcze jakoś o własnych siłach — powiedział.

Randall, stojący z boku, podniósł wysoko brwi.

— Pan jest bardzo domyślny — uśmiechnął się Spencer. —

Chciałem nieco podbudować pana Lemona — wyjaśnił Randallowi.

— Nie zaszkodzi — powiedział Lemon i wyszedł.

Randall i Spencer wrócili do pokoju i usiedli w fotelach.

— Al — zaczął Randall — nie mówiliśmy jeszcze o tym, co zrobimy, jeśli znajdziemy tego człowieka. Nic nie będziemy mogli mu udowodnić...

— Wiem.

— Więc?

— Myślałem o tym. Nie będziemy tak całkiem bezradni. Na razie musimy się jednak przekonać, czy to wszystko nie jest fantazją.

— Przekonamy się.

— To wtedy pomówimy o reszcie.

W szpitalu znowu nie dopuszczono Lemona do Pameli. Wywalczył tylko tyle, że porozmawiał z lekarzem, który stwierdził, iż szanse na wyzdrowienie nie zmalły i z tego należy się cieszyć, bo mogły być znacznie gorzej.

— Kiedy pozwoli mi pan ją zobaczyć? — zapytał Lemon.

Lekarz westchnął ciężko i przetarł zaczerwienione oczy.

— Będzie pan wieczorem? — zapytał.

— Oczywiście.

— To do zobaczenia wieczorem i niech pan będzie dobrej myśli.

— Nie mam wyjścia — mruknął ponuro Lemon.

Po wyjściu ze szpitala zdecydował, że najwyższy czas porozmawiać z szefem. Nie był w redakcji — jeśli nie liczyć wizyt u archiwisty — od dwóch dni. Kierownik działu zapewne zaciśka już pięści i czeka na obiecany reportaż. Szlag by go trafił — zaklął w duchu Lemon. — Dwa do jednego, że mnie w ogóle wyrzuci, jak zobaczy, że przychodzę z pustymi rękami.

Po kwadransie, na nieco miękkich nogach, Lemon wchodził do redakcji. Szef był i do tego miał (cud nad cudy) trochę czasu. Chłodno skinął głową na grzeczne powitanie Lemona i bez słowa wskazał drogę do swojego pokoju. Potem, zamykając drzwi, również bez słowa wskazał krzesło. Sam usiadł naprzeciwko w obrotowym fotelu za wielkim biurkiem. Lemon niezdecydowanie wyjął paczkę papierosów i wyciągnął ją w kierunku szefa, ten jednak pokręcił przecząco głową. Lemon zapalił więc sam. Kiedy przytykał papierosa do warg, zauważył, że drży mu ręka. Zachowuję się jak ostatni dureń — pomyślał. — Pamela walczy ze śmiercią, a ja się trzęsę przed tym nadętym baranem. Zupełny idiota! Był wściekły na siebie i miał już tylko ochotę na to, żeby jak najprędzej wyjść trzaskając drzwiami.

— Coś taki zdenerwowany? — zapytał niespodziewanie kierownik działu.

— Mam powody — burknął Lemon.

— Mhm — szef z niewiadomych przyczyn spokojnie kontynuował rozmowę. — W związku z reportażem czy bez związku?

— I tak, i nie — mruknął już spokojniej Lemon. — Wpakowałem się w taką historię, że... — machnął ręką. — Ale mniej-sza o to. Gorzej, że nie sam się wpakowałem i nie ja obrywam.

— Zaciekawiasz mnie, synu.

— Niechący.

— Czy ja ci coś zrobiłem, synu? — zapytał uśmiechając się lekko.

Tego było już za wiele.

— Coś się panu stało, szefie? — zapytał niedowierzająco Lemon.

— Dlaczego?

— Nie widziałem pana jeszcze w roli dobrej cioci.

— Niedużo widziałeś, synu.

— Może — zgodził się Lemon. — Nie mam reportażu.

— Widzę.

— Wiem, że pan widzi. W tej chwili roi się od rzeczy, które widać, ale których nie można wyjaśnić. Moja dziewczyna leży w szpitalu, a lekarze nie potrafią powiedzieć, czy wyzdrowieje — to też jest związane z tą sprawą.

Szef zmarszczył brwi.

— Jeżeli bujasz, synu, to fatalnie się to dla ciebie skończy.

— Mam to gdzieś — powiedział Lemon patrząc szefowi w oczy.

— Ja też odkrywam w tobie nowe cechy, synu. Może byś mi tak opowiedział, co się dzieje?

— Mogę spróbować, skoro pan chce.

Westchnąwszy ciężko Lemon po raz trzeci opowiedział całą historię. Zajęło mu to przeszło godzinę, szef jednak ani razu nie przerwał, ani go nie ponaglił. Siedział z miną sfinksa, patrząc lekko przymrużonymi oczyma na Lemona. Kiedy Lemon skończył, szef podrapał się po głowie, pomedytował, aż wreszcie powiedział:

— Daję ci jeszcze pięć dni na doprowadzenie sprawy do końca, plus dwa dni na opisanie tego wszystkiego. Razem masz tydzień. Jeżeli nie dotrzymasz tego terminu, możesz zacząć starać się o zasiłek dla bezrobotnych. Jeżeli będziesz potrzebował jakiejś pomocy, możesz korzystać ze wszystkich środków; jakimi dysponuje redakcja. To jedna sprawa. Druga to: gdyby przyszło ci do głowy kiedykolwiek rozmawiać ze mną tym tonem, co na początku naszej rozmowy, to przedtem też możesz zacząć starania o zasiłek. Czy wszystko jasne?

— Jest pan apodyktyczny, ale wielki, szefie — uśmiechnął się Lemon.

— Leć, zanim się nie rozmyślę — burknął szef.

— Dawno mnie tu nie ma — powiedział Lemon i pośpiesznie zamknął drzwi.

Po jego wyjściu kierownik działu zapalił cygaro i uśmiechnął

się smutno. Chłopak jest młody i zapalony — pomyślał — i ma odrobinę iskry bożej. Podoba mi się ta jego bezczelna szczerość.

Szef działu lubił zapaleńców i gotów był sam za nich nadstawić głowę. Była to jedna z przyczyn tego, że wciąż tylko pełnił funkcję kierownika działu.

Tom Randall był człowiekiem odpowiedzialnym. Wiedział, że ciężar zadania, jakie podjęli razem ze Spencerem, będzie spoczywał głównie na jego barkach. Bioenergoterapeuta był zbyt zajęty i zaabsorbowany leczeniem ludzi, żeby tracić za dużo czasu na szukanie bliżej nieokreślonego bruneta. Randall rozumiał to doskonale i nie miał mu tego za złe. Tym sumieniem zabrał się jednak do wypełniania swoich obowiązków. Najpierw długą godzinę spędził w Towarzystwie Bioenergetycznym, gdzie nie tylko przepytął wszystkie sekretarki, ale też wydobyl od nich numery telefonów towarzystw o zbliżonym charakterze. Następną godzinę spędził przy telefonie. Dwa razy sądził, że szczęście uśmiechnęło się do niego. Niestety, okazało się, że pierwszy brunet, jakiego mu proponowano, przekroczył już dawno pięćdziesiątkę, drugiego zaś, choć miał bladą cerę, natura obdarzyła zdecydowanie piwnymi oczami. Następnie zabrał się do oddziałów terenowych towarzystwa. Także bezskutecznie. Później musiał zrobić przerwę — pewien przedsiębiorca kupował dom i życzył sobie opinii różdżkarza. Randallowi zajęło przeszło godzinę chodzenie z giętką gałązką i stwierdzenie, że poza jednym pokojem, pod którym przebiegała niewielka żyła wodna, dom jest zdrowy, jak rzadko który. Później, porządnie już znużony, wrócił do swojego mieszkania i zastanowił się. Trzeba było poszukać gdzie indziej. Przypomniał sobie honorowego prezesa towarzystwa, przeciętnego bioenergoterapeutę, lecz zamilowanego działacza, który całe



dnie spędzał przeprowadzając liczne próby i doświadczenia z kandydatami na uzdrowiaczy, w poszukiwaniu bardziej od siebie predestynowanych przez naturę do tego zajęcia. Randall sprawdził numer telefonu w książce telefonicznej i zadzwonił. Prezesa nie było oczywiście w domu, lecz jego żona stwierdziła, że na pewno chętnie przyjmie Randada następnego dnia przed południem. Nie pozostawało mu nic innego, jak odłożyć sprawę do jutra.

Lemon siedział w pubie, dziobał machinalnie widelcem porcję ryby z frytkami i pokrzepiał się dużym kuflem piwa. Usiłował zebrać myśli. Choroba Pameli, poszukiwanie mordercy, pomysły bioenergoterapeutów i planowany reportaż, kłębiły mu się po głowie bez składu i sensu. Wyciągnął z kieszeni notes i próbował za pomocą pióra i kartki wprowadzić ład w swoich myślach. Bez rezultatu. Zamówił drugie piwo, ale i ono nie pomogło. Każdą próbę logicznego myślenia uniemożliwiał przypominający mu się co chwilę widok Pameli leżącej pod namiotem tlenowym. Wreszcie zrezygnował, westchnął ciężko i wyszedł z pubu.

W szpitalu już nie próbował wdrzeć się do Pameli, lecz poszedł prosto do pokoju lekarza. Ten siedział za białym biurkiem, zajęty jakąś papierkową pracą. Na widok Lemona wstał i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Mam dla pana niespodziankę — powiedział.

— Tak?

— Pana narzeczona odzyskała przytomność.

Lemon oniemiał na chwilę, po czym złapał lekarza za ramię i mocno nim potrząsnął.

— Pan sobie wyrabia u mnie wielki kredyt wdzięczności, doktorze — rzucił lekko zdezorientowanemu jego reakcją lekarzowi, po czym odwrócił się na pięcie i wybiegł z gabinetu.

— Zaraz! Zwariował pan?! — lekarz, puścił się za nim w

pogoń. Dopadł Lemona przed drzwiami pokoju Pameli. — Pan zapewne chce ją zabrać na dansing? — rzucił sarkastycznie, z trudem tłumiąc zadyszkę.

— O co chodzi? — zdziwił się Lemon.

— O to, jak pan się zachowuje. Ona jest słaba jak mucha. Żadnych wzruszeń, żadnego gadania, nic. Może pan wejść na chwilę, ale cicho i spokojnie. Niech pan jej nie zmusza do mówienia. Ma leżeć cały czas tak, jak leży i nie ruszać się. Jasne?

— Jasne.

— Bo jeżeli nie, to damę słowo, że więcej pana nie wpuszczę. My tu sobie urabiamy ręce po łokcie, stajemy na głowie, żeby jej pomóc, a pan chce wszystko zepsuć w dwie minuty!

— Przepraszam — wymamrotał skruszony Lemon. — Będę cichy i spokojny jak rodzinny grobowiec.

— Pan ma talent do przyjemnych metafor.

— Cholera! Przepraszam.

Lemon najdelikatniej jak umiał otworzył drzwi pokoju. Pamela leżała z zamkniętymi oczami. Koło niej siedziała pielęgniarka, regulując jakieś przyrządy. Lemon podszedł na palcach. Kiedy pochylił się nad łóżkiem, Pamela podniosła powieki.

— Cześć, panno Jones... — mruknął Lemon. — Pamiętaj, że masz się do mnie nie odzywać, bo mnie wyrzucą. Lekarz jest o ciebie zazdrosny.

Skinęła lekko głową w odpowiedzi i uśmiechnęła się.

— Trochę się o ciebie bałem...

Uśmiechnęła się ponownie. Lemon położył dłoń na jej dłoni i ścisnął ją lekko.

— Już teraz będzie dobrze, maleńka. Zobaczysz.

Pamela przymknęła oczy. Po krótkiej chwili na jej policzku pojawiła się łza.

— Zobaczysz, że już będzie dobrze — powtórzył Lemon. — Pam, to nie był przypadek, ktoś ci pomógł, prawda?

Pamela szeroko otworzyła oczy. Lemon był pewien, że pojawiła się w nich ulga.

— Balaś się, że się nie domyślę? — zapytał.

Skinęła głową.

— No wiesz! — obruszył się Lemon. — Myślałem, że choć ty mnie trochę doceniasz.

Pamela uśmiechnęła się i przytaknęła oczami.

— No dobrze — złagodniał Lemon. — Policzymy się, jak wyzdrowiejesz. Teraz posłuchaj, Pamelko. Chciałbym cię zapytać o parę rzeczy związanych z... wiesz z czym. Ale jeżeli nie chcesz o tym myśleć, to pokręć głową i damy na razie spokój. Nie pali się. Pytać?

Pamela przytaknęła.

— Dobrze, ale nic nie mów. Dawaj mi tylko znaki, jak do tej pory, okay? Widziałas go?

Pamela pokręciła głową.

— To skąd wiesz... Nie, przepraszam. Poczulaś coś?

Pamela potwierdziła.

— To było dziwne?

Szybko przytaknęła.

— Wiesz, co to było?

Zaprzeczenie.

— Ja się domyślam. W każdym razie nie uderzył cię, nie zranił, tylko dotknął?

W oczach Pameli pojawiło się zdumienie. Złożyła usta, jak do pocałunku, potem przytaknęła.

— A — domyślił się — to uznanie dla mnie?

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

— Panie Lemon — wtrącił się stojący z tyłu lekarz — jak na pierwszy raz, to wystarczy.

— Dwie minuty, doktorze, bardzo proszę, to ważne.

— No dobrze — zgodził się lekarz.

— Widzisz, jaki zazdrosny — mruknął Lemon do Pameli. — Myślisz, że dowiedział się od Beynama?

Pamela potwierdziła.

— Zrobiłem Beynamowi małe kuku. Przypuszczam, że chodzi teraz cały w plastrach — pochwalił się

Pamela uśmiechnęła się i dwukrotnie przymknęła powieki na znak zgody.

— Muszę iść, kochanie, bo mnie więcej nie wpuszczą. Bardzo pusto jest bez ciebie.

Pamela uśmiechnęła się. Lemon pochylił się nad nią i złożył na jej ustach delikatny pocałunek, który odwzajemniła.

— Spędzilibyśmy czas znacznie ciekawiej, gdyby nie ten facet pod drzwiami — zapewnił Lemon, pocałował jej rękę i wyszedł.

Na korytarzu lekarz przytrzymał go za łokieć.

— Chwileczkę, przepraszam, że się wtrącam, ale pan mówił do narzeczonej o dziwnych rzeczach, mających, jak zauważyłem, związek z chorobą...

— Doktor podsłuchiwał?

— Niech się pan nie wygłupia. Jeżeli wie pan coś o przyczynach choroby, to może być ważne dla leczenia. To chyba oczywiste.

Lemon westchnął ciężko.

— Myślałem o tym, doktorze. Sądzę, że dla leczenia to nie jest ważne, ale dobrze, spróbuję. Co by pan powiedział, gdyby dowiedział się pan, że przyczyną ataku serca jest wstrząs bioenergetyczny, wywołany energią nacechowaną ujemnie?

Lekarz otworzył szeroko oczy, ale opanował się szybko i wzruszył ramionami.

— Bzdury.

— No właśnie. Wiedziałem, że pan tak wzruszy ramionami i powie „bzdury”. Ale mam dla pana niemiłą wiadomość — to jest prawda — powiedział Lemon, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Lekarz stał na korytarzu długą chwilę, drapiąc się za uchem. Pokręcił w końcu głową. Wrócił do swojego pokoju, usiadł i z odrobiną rezerwy spojrzął na leżące na biurku wyniki badań

laboratoryjnych.

Lemon wrócił do swojego mieszkania. Usiadł ciężko w fotelu i zapalił papierosa. Czuł się, jakby głowę wypełniał mu ołów. Po chwili wstał, pogrzebał w stojaku z płytami i po krótkim wahaniu wybrał starą płytę Milesa Davisa. Włączył adapter. Smutny, przytłumiony dźwięk trąbki wypełnił pokój. Lemon wyciągnął się na tapczanie zaplatając ręce pod głowę. Dym papierosa leżącego na popielniczce snuł się powoli w zielonym świetle lampki kontrolnej adapteru. Lemon odetchnął głębiej przymykając oczy. Morderca, śledztwo, wszystko inne usunęło się w cień. Myślał o Pameli. Jej uśmiechy, skinięcia głowy, ruchy powiek... Po chwili obrazy zaczęły się zlewać ze sobą i zamazywać. Lemon zasnął.

Zielone światelko świeciło się do rana.

O ósmej rano wyrwał go ze snu dzwonek telefonu. Lemon otworzył oczy i nieprzytomnym wzrokiem powiódł po pokoju. Przez długą chwilę nie był pewien, czy dźwięk dzwonka należy jeszcze do snu, czy już do jawy. Wreszcie zrozumiał i wyskoczył z łóżka. Mrużąc oczy przed ostrym światłem słońca, dopadł do aparatu.

— Słucham... — wykrztusił, z trudem pokonując opór języka, któremu nie wyszło na zdrowie czterdzieści papierosów wypalonych poprzedniego dnia.

— Calder.

— Kto?

— Calder. Inspektor Scotland Yardu. Znamy się od jakiegoś czasu, może sobie przypominasz?

— Co? Och, przepraszam. Jestem cokolwiek nieprzytomny.

— Obudziłem cię — z satysfakcją stwierdził Calder.

— Tak jakby.

— Praca w wolnych zawodach polega zdaje się głównie na spaniu do południa.

— U nas pracuje się głową — odgryzł się Lemon.

— Masz cięty język, jak cię zbudzić rano. Powinieneś pisać o tej porze. Byłbyś świetny — zaśmiał się inspektor.

— Mhm...

— Gdyby cię to interesowało, to coś ci mogę pokazać.

— Interesowałoby. Co?

— Portret pamięciowy tego gościa.

— Nie pomyślałem o tym. Jest pan genialny!

— Na swój policyjny sposób — zgodził się Calder.

— Oczywiście, będę za godzinę, dobrze?

— Tylko nie zaśpij.

— Postaram się.

Punktualnie za godzinę Lemon pukał do drzwi pokoju inspektora.

— Ranny ptaszek — powitał go Calder.

— Staram się, jak mogę. Niech pan pamięta, że mam niestandardowy czas pracy.

— Ja też — westchnął inspektor. — No, ale dzięki temu mamy pierwszy konkretny w tej sprawie.

— Jesteście szybsi od wiatru.

— No, przyspieszyłem nieco sprawę ze względu na ciebie. Portret, jaki uzyskaliście, może nie być zupełnie wierny. Konstruowały go tylko trzy osoby — więcej nie udało nam się ściągnąć w tak krótkim terminie.

— Nie widziałem nigdy, jak to się robi, ale ze słyszenia wiem, że dobieracie każdy szczegół twarzy po kolei?

— Coś takiego.

— Może pan pokazać?

Calder pogrzebał chwilę w szufladzie, wyjął tekturową teczkę, a z niej kserograficzną odbitkę rysunku.

— Proszę.

Lemon wziął kartkę ostrożnie do ręki. Rysunek przedstawiał stosunkowo młodego, ciemnowłosego mężczyznę o pociągłej twarzy, mocnym zarysie szczęk i szeroko rozstawionych

oczach. Można by bez wahania określić jego twarz jako przystojną, gdyby nie usta. Coś było z nimi nie w porządku. Błąkał się na nich jakiś nieuchwytny dla oka grymas, jakiś rys, który nakazywał przyjrzeć się tej twarzy ponownie. Lemon siedział nieruchomo i wpatrywał się w odbitkę jak urzeczony.

— No i co? — przerwał po chwili ciszę Calder.

— Dziękuję, pokazał mi pan człowieka, który chciał zabić Pamelę.

Coś w jego głosie zaniepokoiło inspektora, bo zapytał:

— Nie chcesz chyba, żebym żałował, że pokazałem ci tę odbitkę? Pamiętaj, że to tylko podejrzany. Ani ty, ani ja nie mamy żadnych poważnych dowodów.

— Ale wiemy.

— Ja wiem wtedy, kiedy potrafię to udowodnić. Wcześniej się tylko domyślałem.

— Podaruje mi pan, inspektorze, tę odbitkę?

— Hm... — Calder westchnął. — Widzisz, to zabronione. Już pokazując ci ją postąpiłem nieco... nieformalnie.

— Bardzo by mi się przydała. Może mógłbym go znaleźć szybciej niż wy.

— Jaką odbitkę? — zapytał Calder udając zdziwienie.

Lemon uśmiechnął się lekko i schował szybko kartkę do kieszeni.

— Ja mówiłem coś o jakiejś odbitce? — zapytał.

— Musiałem się przesłyszeć — zgodził się inspektor. — Z wiekiem słuch mi słabnie.

Randall wrócił do domu tego dnia późnym popołudniem. Kiedy otworzył drzwi swojego mieszkania, nadepnął na wsunięte przez szparę kartki papieru. Rozprostował je. Jedna była odbitką rysunku twarzy jakiegoś mężczyzny, na drugiej było coś napisane. Randall zamknął nogą drzwi, przeszedł do pokoju i zapalił światło. *Nie zastałem cię w domu, przesyłam więc wiadomości tą drogą.*

*Po pierwsze. Pamela odzyskała przytomność. Potwierdziła w pełni nasze domysły. Nie znam jeszcze szczegółów (nie wolno jej mówić), ale uzyskałem pewność, że atak nastąpił po dotknięciu jej przez człowieka, którego nie widziała.*

*Po drugie: mój przyjaciel ze Scotland Yardu sporządził przy pomocy świadków portret pamięciowy tego człowieka. Portret nie jest zapewne wierny, ale można mieć nadzieję, że zawiera rysy charakterystyczne. Powinien wam chyba ułatwić poszukiwania. Dysponuj rysunkiem, jak chcesz, zrobiłem sobie z niego fotograficzne odbitki. Będę w szpitalu. Zadzwo-  
nię do ciebie wieczorem.*

*Jack Lemon*

Randall pomyślał chwilę, po czym podszedł do telefonu. Wykręcił numer honorowego prezesa towarzystwa, Ronalda Everta.

— Pan Evert? — zapytał, gdy uzyskał połączenie. — Jeszcze raz Randall. Nie uwolni się pan ode mnie dzisiaj.

— Nic nie szkodzi, młody człowieku. Zawsze rozmawiam z panem z wielką przyjemnością.

— Jak pan sobie na pewno przypomina, zanim dziś wyszedłem od pana, ustaliliśmy, że rysopisowi, jakim dysponowałem, może odpowiadać dwóch ludzi.

— Tak, oczywiście.

— Otóż pojawił się nowy element. Otrzymałem coś w rodzaju fotografii tego człowieka. Bardzo przepraszam, że nadużywam pańskiej uprzejmości, ale gdyby zechciał pan rzucić na nią okiem, to zapewne rozstrzygnęłoby sprawę.

— Fotografia? Naturalnie, wzrok mi jeszcze, dzięki Bogu, dopisuje. Kiedy chce mi pan ją pokazać, młodzieńcze?

— Jak najszybciej. Kiedy tylko pan prezes będzie...

— Ma pan jakieś plany na ten wieczór?



— Jeśli mógłbym jeszcze raz odwiedzić pana, tylko na kwadrans...

— Oczywiście, po cóż to odkładać do jutra?

— Będę za czterdzieści minut.

Ucieszony Randall uderzył dłonią w dłoń.

— Mamy cię, bracie — mruknął, i ruszył do wyjścia.

Wydawało się, że prezes Evert nie ruszył się z wygodnego fotela przed kominkiem, w którym zostawił go Randall. Nadal nogi jego okrywał lekki pled, a fajka tkwiła pod niezmiennym kątem w prawym kąciku jego ust, tuż pod siwym wąsem. Evert mógłby uchodzić za emerytowanego pułkownika czy majora, gdyby nie fakt, że jego srebrne włosy były odrobinę za długie, a niebieskie oczy miały zbyt marzycielski wyraz. Uśmiechnął się na widok Randalla i gestem wskazał mu sąsiedni fotel.

— Zaciekał mnie pan na dobre. Ma pan tę fotografię?

— W zasadzie to nie jest fotografia — powiedział Randall. — To rodzaj rysunku, być może niezbyt wiernego. Niech pan zresztą sam spojrzy... — podał Evertowi kartkę.

Evert wyjął z ust fajkę i sięgnął po rysunek. Przyglądał się uważnie, potem przymrużył na chwilę oczy, znów spojrzął i przygryzł wąsa.

— Czy... to jeden z tych dwóch, o których pan mówił?

— Co? Nie, to ani Smith, ani Webstley. Nie...

— A więc? Nie zna go pan?

— Znam — krótko oświadczył prezes.

Randall zdziwił się trochę, postanowił jednak pomilczeć chwilę. Zrobił słusznie, Evert bowiem podumał jeszcze, pyknął parę razy z fajki i sam się odezwał:

— To stara historia. Tego człowieka — nawet nie pamiętam już jego nazwiska — poznałem kilka lat temu. Pięć czy sześć. Zgłosił się do nas mówiąc, że czuje w sobie jakieś siły bioenergetyczne. Chciał to sprawdzić. Wie pan, zgłasza się z takimi pomysłami tak wielu ludzi, że wszystkich nie możemy przetestować,

ale ten nalegał tak bardzo, że w końcu ustąpiłem i zbadałem jego możliwości aparatem Siegiejewa. Aparat o mniejszej skali — do stu jednostek — był przez kogoś zajęty, ponieważ jednak tamten tak nalegał, podłączyłem go do innego. Nie bez ubocznych myśli zresztą, chciałem bowiem nauczyć go odrobiny skromności, porównać jego wynik, z rekordowymi i pokazać mu, co znaczy naprawdę dysponować silnym biopolem... — Evert westchnął, pociągnął z fajki i kontynuował. — Z początku myślałem, że aparat się zepsuł. Wie pan, to nie są doskonałe konstrukcje i czasem robią nam psikusy. Przeprosiłem go więc, sprawdziłem, co się dało i powtórzyłem badanie. Nie uwierzy mi pan. Dochodził do dwóch i pół tysiąca jednostek. To było niesamowite. O ile wiem, siła tylko dwóch czy trzech ludzi kiedykolwiek wychyliła wskazówkę dalej. Byłem wstrząśnięty. Zacząłem oczywiście testować go na inne sposoby, męczyłem go przeszło trzy godziny. Miał rzeczywiście niesamowite siły, brak mu było jednak treningu. Telekinetyczne zjawiska udawało mu się wywoływać w minimalnym stopniu, jednak jego dotyk był niebywały. Łyzeczkę zginał w dwie, trzy minuty, aluminiowe sztucze pękały.

Oczywiście chciałem utrzymać z nim kontakt, pomyślałem, że może będzie świetnym bioenergoterapeutą. On też chciał spróbować. Po kilku tygodniach treningu i wyjaśnianiu metod, postanowiliśmy spróbować z pacjentami. Pomagałem wówczas kilku osobom cierpiącym na silne migreny, wie pan zapewne, że migreny to moja specjalność. Zaczęliśmy więc próby leczenia, ale ich wyniki były zdumiewające. Kiedy jednej z moich pacjentek przyłożył ręce do skroni, poczuła tak silny ból głowy, że trzeba jej było aplikować zastrzyki przeciwbólowe. Nie wiem do dziś, jaki on popełniał błąd, ale ten człowiek wielokrotnie wzmagał ból, zamiast go uśmierzać! Nawiasem mówiąc, pacjentka — o co zresztą nie mam wielkich pretensji — omal nie

podawała mnie do sądu. Udało mi się ją jakoś ułagodzić, ale o to mniejsza. W życiu nie spotkałem takiego zjawiska. Nie mogłem oprzeć się pokusie następnego eksperymentu. Pacjentem zgodził się być mój, nieżyjący już dziś, przyjaciel. Skończyło się to jeszcze gorzej. Dwa dni przeleżał w szpitalu. Po tym eksperymencie nie bardzo wiedziałem, co robić dalej. Chciałem przekazać go komuś innemu, jakoś wykorzystać te jego siły. Powiedział, że ma dosyć, że nie chce stać się sensacją i skoro nie może leczyć, to zapomni o całej sprawie. Oczywiście namawiałem go, przekonywałem, że ma niesamowite możliwości... wszystko na nic. Był uparty. Powiedział, że dużo się nauczył, jest mi wdzięczny, ale ma dość. Prosił też, żeby nie rozgłaszać jego przypadku. Nie zgodził się nawet zostawić adresu. Poszedł i tyle.

— Widział go pan jeszcze kiedyś? — Randall miał zaczerwienione z emocji policzki.

— Nie, już się nie pojawił. Miałem do niego żal, że wpakował mnie — chociaż niechcący — w duże kłopoty, a później umył od wszystkiego ręce i po prostu sobie poszedł. No, ale bywa i tak. — Evert uśmiechnął się smutno i zwrócił Randallowi odbitkę portretu pamięciowego.

— Muszę odnaleźć tego człowieka — powiedział Randall. — Nie przypomni pan sobie, jak się nazywał?

Prezes pokręcił głową.

— Nie mogę. Próbuję cały czas, ale nie mogę, chyba zapomniałem na amen.

— A może zapisywał pan gdzieś jego nazwisko? — nie ustępował Randall.

— Chyba nie... chociaż... Niech pan poczeka — podniósł się i wyszedł z pokoju.

Randall odchylił głowę na oparcie fotela i starał się nie myśleć. Ich podejrzania były uzasadnione. Reszta była już tylko kwestią czasu.

Po kilku minutach Evert przyczłapał z powrotem. W rękę, prócz fajki, trzymał mocno sfatygowany notes.

— Mam zwyczaj, który bardzo denerwuje moją małżonkę — odezwał się siadając w fotelu. — Niechętnie wyrzucam cokolwiek, a już szczególnie stare kalendarzyk, i notesy. Zawsze mi się zdaje, że coś, co jest w nich zapisane, kiedyś może mi być bardzo potrzebne. I mam rację. Ten człowiek nazywa się Roger Holl.

## Rozdział IX

Jack Lemon i Adalbert Spencer siedzieli w wygodnych, dużych fotelach w mieszkaniu Randalla. Gospodarz rozlewał do wysokich szklanek coca-colę i wodę mineralną. Wezwał ich krótkim „Mamy go”, rzuconym przez telefon rano. Randall usiadł wreszcie, pociągnął łyk wody i delektując się odrobiną napięcia, jakie wyczuł u obu swych gości, zaczął:

— Odwiedziłem wczoraj Ronalda Everta. To prezes Towarzystwa Bioenergetycznego — wyjaśnił Lemonowi. — Ściśle mówiąc, odwiedziłem go dwukrotnie — przed i po otrzymaniu portretu pamięciowego mordercy.

— Portretu? — zdziwił się Spencer.

— Mój przyjaciel ze Scotland Yardu przesłuchał świadków i wczoraj sporządził z ich pomocą portret pamięciowy tego człowieka — wyjaśnił Lemon.

— Mhm... — przytaknął Randall. — Prezes przypomniał sobie jego nazwisko...

Lemon wstrzymał oddech.

— Roger Holl.

Następnie Randall opowiedział im to, czego dowiedział się od Everta ó Hollu. Kiedy skończył, zapanowała chwila ciszy.

—No cóż... — odezwał się Spencer. — Wygląda na to, że mieliście obaj rację

—Spróbuję ustalić jego adres — mruknął Lemon. — Jeżeli nie wyjechał z Londynu, to powinno być proste.

—A co dalej? — zapytał Spencer.

—Dalej to już nie będzie takie proste — odparł Lemon.

—No właśnie — mruknął Randall. — Można mu najwyżej udowodnić, że przebywał w miejscach, w których umarło kilka osób. Twoja narzeczona go nie rozpozna?

Lemon pokręcił przecząco głową.

—No właśnie. To by zresztą też wiele nie dało...

—Myślałem o tym aż za dużo — odezwał się Lemon — i doszedłem do wniosku, że prawo jest wobec niego bezradne. Nie potrafimy mu w żaden sposób zaszkodzić. Możemy się tylko co najwyżej ośmieszyć, nic poza tym. Mam jednak z panem Hollem osobiste porachunki, o których nie zapomnę. Chcę was prosić, abyście zapomnieli o całej sprawie. Lepiej dla wszystkich będzie, jeżeli dalej poprowadzę ją sam i na własne ryzyko.

—Co pan chce zrobić? — spokojnie zapytał Spencer.

—Nie wiem jeszcze. Możecie być jednak spokojni. Zostanie ukarani.

—A pana wypuszczą z więzienia za dwadzieścia lat, tak?

—Bzdura — mruknął Spencer. — Zapomniał pan pomyśleć, kto zajmie się pana narzeczoną, kiedy wyjdzie ze szpitala. Mam nieco lepszy pomysł — powiedział.

Obaj spojrzeli na niego pytająco.

—Trzeba spróbować schwytać go na gorącym uczynku. Musimy zaaranżować taką sytuację, w której zgodzi się zadziałać jeszcze raz. Nie będą to miażdżące dowody, ale zeznania podstawionego spadkobiercy, „spadkodawcy”, którego będzie chciał zabić, i świadków, którzy mogą to wszystko obserwować

z ukrycia, rejestrować jego słowa i tak dalej — to już będzie coś.

— Na pewno — mruknął Randall — ale spadkodawca może już nie móc zeznawać. Ten człowiek jest niezwykle... skuteczny.

— To nic — wtrącił Lemon. — Jestem najmłodszy z was i najsilniejszy. Mnie nic nie będzie.

Bzdura — mruknął Spencer. — W najlepszym przypadku zająłby pan łóżko koło narzeczonej. Clou mojej teorii stanowi pytanie, czy potrafię wytworzyć energię którą umownie określiliśmy jako nacechowaną „ujemnie”.

— Ty? — zdziwił się Randall.

— Pomyślcie, Holl atakował zawsze ludzi słabych, nieprzygotowanych. A co by się stało, gdyby zaatakował człowieka „naładowanego” taką samą energią?

Randall wiedział, że pytanie to skierowane, jest do niego.

— To czysta spekulacja — mruknął — ale hm... — spojrzał nagle na Spencera z niedowierzaniem — sądzisz, że ta siła mogłaby się odbić?

Spencer uśmiechnął się.

— Jeżeli jest to zjawisko fizyczne, to raczej tak.

— Nie rozumiem, możecie mi to wytłumaczyć? — wtrącił się Lemon. — Co da takie odbicie?

— Będę zasłonięty czymś w rodzaju tarczy. Dlatego tylko ja mogę zagrać tę rolę. Nikt z was nie potrafi wytworzyć takiego pola.

Lemon pokręcił głową.

— Pan potrafi wytworzyć taką energię?

— Trenuję od dwóch dni — powiedział Spencer. — Nie jestem na pewno tak „silny” jak Holl, ale chyba potrafię. Nie miałem jeszcze okazji spróbować.

— Proszę spróbować na mnie — powiedział Lemon.

Spencer namyślał się chwilę.

— Dobrze — powiedział. Siedział przez kilka minut w milczeniu,

z twarzą ukrytą w dłoniach. Nagle wstał, obszedł szybko fotel Lemona i podszedłszy z tyłu, dotknął jego skroni. Jack zamru-  
gał szybko oczami. Poczul wyraźny chłód, a po chwili silny ból,  
obejmujący jak obręcz całą głowę. Wstał szybko i przycisnął  
dłonie do skroni.

— Niesamowite — wyjąkał — potrafi pan.

Randall siedział bez słowa patrząc na Spencera.

— Efekt przerósł moje oczekiwanie — powiedział bioener-  
goterapeuta. — Myślę, że mój pomysł jest lepszy od pańskiego  
— zwrócił się do Lemona — pod małym warunkiem oczywiście.  
Holl musi chcieć mnie zabić.

Zapadła chwila ciszy.

— To się chyba da zrobić — powiedział Randall. — Mam  
pewien plan...

— Daj mi najpierw jakiś proszek przeciwbólowy — mruknął  
Lemon — pan Spencer może śmiało temu draniowi zrobić kon-  
kurencję.

Inspektor Calder chodził nerwowo po pokoju i żywo gesty-  
kulując przemawiał do Lemona:

— Jeżeli cię dobrze zrozumiałem, to przychodzisz tu jak  
gdyby nigdy nic i oświadczasz, że zdradzisz mi nazwisko tego  
faceta pod warunkiem, że kiedy go znajdę, powiadomię cię o  
tym, a sam powiem ludziom, że przez tydzień zostawiamy face-  
ta w spokoju i czekamy na lepsze czasy?

Lemon z uporem kiwał głową.

— Nie widzę w tym nic niezwykłego — mruknął — przysługa  
za przysługę i tyle.

— A może ty pochodzisz z Sycylii, co? Wendeta ci się ma-  
rzy?

— A pan co mu zrobi? — zaatakował z kolei Lemon. — Nie  
macie cienia szansy, żeby mu cokolwiek udowodnić.

— Zobaczymy.

— Nic nie zobaczymy. Rozmawiałem z Pamelą, potwierdziła

wszystkie moje podejrzenia! Jej atak nie był żadnym choler-  
nym przypadkiem! Dziesięć lat możecie go przesłuchiwać i  
uzyskacie tyle dowodów, że każdy sąd was wyśmiewie. A on bę-  
dzie spokojnie prosperował dalej. Co pół roku zamorduje sobie  
jakąś staruszkę, zainkasuje okrągłą sumkę i będzie się wam  
śmiał w nos.

— Spokojnie, przyjacielu, spokojnie — złagodniał inspektor.  
— Nie musisz się tak denerwować. Myślisz, że tobie uda się  
lepiej?

— Tak.

— Ale nie powiesz, co chcesz zrobić?

— Dobrze, powiem — zdecydował się nagle Lemon. —  
Chcemy zorganizować mu jeszcze jedno zadanie. Starszego  
pana, który ma zostawić czterystutysięczny spadek.

Inspektor gwizdnął przez zęby.

— A kto zaryzykuje rolę staruszka? — zapytał. — Można ją,  
jak rozumiem, przypłacić życiem.

— Jest taki człowiek. Bardzo odporny...

Inspektor zastanowił się chwilę.

— No, dobrze. Myślę, że ostatecznie mógłbym na to pójść,  
pod warunkiem, że dopuścisz mnie do przedstawienia.

Lemonowi zaparło dech.

— Dziękuję — wydusił wreszcie. — Zaskoczył mnie pan, In-  
spektorze.

Calder uśmiechnął się i zapalił papierosa.

— Zdradzę ci tajemnicę, synu — mruknął. — Ja nie bardzo  
nadaję się na policjanta. Mimo tych wszystkich lat, ciągle nie  
mogę oswoić się z myślą, że jedni zwykli ludzie zabijają innych  
zwykłych ludzi.

Przez następne trzy dni Lemon, Randall i Spencer pracowali  
po kilkanaście godzin na dobę. Setki razy powtarzali i ulep-  
szali scenariusz, dopracowywali najdrobniejsze szczegóły.



Odwiedzali najróżniejsze sklepy i najróżniejszych ludzi. Spencer przeszedł nawet mały zabieg u chirurga plastycznego, który nie mógł się nadziwić jego żądaniom. Inspektor był o wszystkim poinformowany, Lemon jednak wymusił na nim obietnicę, że da im zupełnie wolną rękę i nie będzie się do niczego wtrącał. Od czasu do czasu w największym wirze przygotowań budziły się w nich wątpliwości. Nawet pomysłodawca — Spencer — miał chwile wahania i zwątpienia. Tylko Lemon pracował jak maszyna — załatwiał, organizował, dwoił się i troił. Z zimnym błyskiem oczu odrzucał wszelkie wątpliwości wysuwane przez pozostałych. Rzucał krótko „zobaczmy” i wracał do przygotowań. Kiedy inspektor podał Lemonowi kartkę z adresem Rogera Holla, wszystko było związane na ostatni guzik.

## Rozdział X

Roger Holl siedział w swoim biurze na ulubionym krześle za biurkiem. Oczy miał lekko zmrużone, zmarszczone brwi pocierał w zamyśleniu wskazującym palcem. Wahał się. Za chwilę miał przyjść do niego klient: młody, najwyżej trzydziestoletni człowiek, który wczoraj telefonicznie zapowiedział mu swoją wizytę.

Holl zaprzestał już od pewnego czasu działalności. Wyznaaczył sobie półroczną przerwę, aby uniknąć kuszenia losu. Trochę ostrożności nie zawadzi, zwłaszcza gdy na nią stać. Sześćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów na koncie nie było co prawda szczytem jego marzeń, ale dawało miłe poczucie stabilizacji i pewność siebie. Miał nawet zamiar zlikwidować biuro i wynieść się z Londynu, ale uznał, że byłoby to bardziej podejrzane,

pozostał więc na miejscu. Za rok, dwa, opuści nie tylko Londyn, ale także Anglię. Będzie go stać na wszystko, czego zapragnie.

Wczorajszy telefon wytrącił go odrobinę z równowagi. Jakiś młody, snobistyczny bubek oznajmił mu, że być może będzie chciał skorzystać z jego porady i gotów jest przyjść do jego biura jutro o trzeciej po południu. Holl oświadczył mu spokojnie, tak jak uczynił to już w kilku innych przypadkach, że niestety ma tyle pracy, że przez kilka miesięcy nie przyjmuje nowych spraw. Zwykle następowała po tym odpowiedź: „Trudno, do widzenia” lub urażone chrząknięcie i trzask odkładanej słuchawki, ale wczorajszy rozmówca zdobył się na oryginalność.

— Panie Holl — rzucił wyniośle — nie jestem nastrojony do żartów. W tej sprawie chodzi o takie sumy, że wszystkie zajęcia może pan odstąpić kolegom albo posłać je do diabła. Będę jutro o trzeciej. Żegnam.

Sytuacja nie była prosta. Mógł oczywiście zignorować bubka, ale, po pierwsze — nie wiedział, kim on jest, a więc istniało ryzyko, że obrazi się za zignorowanie spotkania i spróbuje się odegrać na adwokacie, który go zlekceważył, a po drugie — te wielkie sumy... Holl nie chciał żadnego szumu wokół swojej osoby. Wolął już przyjąć natręta i jakoś go zniechęcić, chociaż z drugiej strony... kto wie, czy dla odpowiednio dużej kwoty nie warto byłoby zaryzykować jeszcze raz, wyjątkowo...

Rozległo się pukanie. Zajęty myślami Holl drgnął, zgał się natychmiast za brak opanowania, odczekał chwilę i powoli powiedział:

— Proszę.

Do pokoju wszedł wysoki człowiek, parę lat starszy, niż Holl przypuszczał. Jego nos podniesiony był o centymetr wyżej, niż u większości ludzi, a jego oczy sprawiały wrażenie, że natura usztywniła je nieco i umieściła w ten sposób, że mogły spoglądać tylko z góry. Nieznajomy wszedł niespiesznie, niedbałym

ruchem zamknął za sobą drzwi i odczekawszy, aż Holl uniesie się na powitanie, oznajmił:

— Jestem John C. Lister — co powiedziawszy rozsiadł się na jednym z foteli stojących przed biurkiem Holla. Miał na sobie rozpięty beżowy płaszcz z wielbłądziej wełny i identycznego koloru świetnie skrojony garnitur. Kapelusz położył na biurku Holla, ręce zaś wsparł na parasolu zakończonym rączką z kości słoniowej.

— Słucham — powiedział ostrożnie Holl.

Młody człowiek odchrząknął, po czym — w akrobatyczny sposób patrząc ciągle z góry na Holla, który był tego samego wzrostu — zaczął:

— Chcę się zorientować co do pańskich możliwości. Tradycyjne sposoby prawników nie odpowiadają mi, są bowiem nieskuteczne. Chcę wiedzieć, czy potrafi pan coś więcej.

— To zależy

— Od czego?

— Od wysokości sumy i rodzaju przypadku.

— Tak. Spadek — przeszło czterysta tysięcy funtów. Jedy-  
nym spadkobiercą jestem ja. Taki jest testament.

— Cóż więc budzi pana niepokój? — udał zdziwienie Holl.

— Niech pan nie udaje głupca. Potrzebuję tych pieniędzy szybko, nie mogę czekać, aż stryj łaskawie umrze. Czekam już od siedmiu lat.

— To rzeczywiście przykre — zgodził się Holl.

— Wypraszam sobie — zimno oświadczył Lister. — Nie oczekuję od pana współczucia, tylko zręcznej usługi. Nie wiem tylko, czy pan się nadaje.

Holl lekko poczerwieniał.

— Nie musi się pan troszczyć o. moje kwalifikacje. Jakoś sobie daję radę.

— Mam nadzieję.

— Zostawmy to — Holl uśmiechnął się niespodziewanie. Sytuacja zaczynała mu się podobać. Jego rozmówca był niewątpliwie

durniem, miało to jednak swoje dobre strony — ułatwiało dyktowanie warunków, zostawiało dużo swobody. A te pieniądze... Dla takiego spadku Holl jeszcze nie pracował. Pomyślał o dziesięcioprocentowym honorarium. Z sześćdziesięciu tysięcy funtów zrobiłaby się za jednym zamachem setka. To była kusząca myśl. Bardzo kusząca.

— Trafiał pan dobrze — powiedział. — Sądzę, że potrafię panu pomóc. Nie miałem zamiaru przyjmować tej sprawy, ale skoro jest tak... poważna, to jestem skłonny zmienić decyzję, o ile oczywiście dojdziemy do porozumienia, w co zresztą nie wątpię. Zależy to jednak też od pewnych innych okoliczności...

— Tak? — John C. Lister przyjął postawę wyczekującą.

— Pan wspomniał, że dziedziczy po stryju?

Lister kiwnął głową.

— Czy mógłbym się czegoś o nim dowiedzieć? Jaki tryb życia prowadzi, jak mieszka, jaką ma służbę i tak dalej.

— Hmm — Lister najpierw zastanawiał się chwilę, czy udzielenie tych informacji nie uwłacza jego godności, a później dopiero dostrzegł niezwykłość pytań. Jego brwi uniosły się nieco. — Co pana obchodzi służba mojego stryja?

— Nie rozumiemy się — powiedział Holl z uśmiechem. — Mówimy o rodzaju hmm... usługi, jakiej nie wyświadczy panu żaden inny adwokat w Londynie. Nie mówiłem panu nic o moich metodach, nie zamierzam ich zresztą zdradzać. Są moją — uśmiechnął się szerzej — najcenniejszą tajemnicą zawodową. Powiem panu tylko, że różnią się bardzo istotnie od typowych zabiegów prawniczych. Wymagają też specyficznych informacji, o które właśnie pana poprosiłem.

Lister skrzywił się lekko, żeby pokazać, że metody Holla nic go nie obchodzą, i mruknął:

— Stryj mieszka w domu przy Brewer Street. Jest skąpy i ograniczony. Ma obecnie tylko kucharkę, która jednocześnie próbuje zastąpić lokaja zmarłego przed kilku tygodniami. Stryj znalazłby sobie nowego już dawno, gdyby nie to, że proponuje śmiesznie małą płacę. Sam wydaje też niewiele. Jego jedyne godne uwagi wydatki to obrazy, na których zresztą zupełnie się nie zna. To hobby jest zresztą też rodzajem lokaty kapitału.

— Rozumiem — skinął głową Holl. — A ile lat ma stryj?

— Lat? — zdziwił się Lister. — Też coś... przypuszczam, że sporo.

— Powyżej sześćdziesiątki?

— O, z pewnością.

— A jak z jego zdrowiem?

— Hm... leczy się oczywiście na coś, ale nie interesowało mnie to nigdy. To w końcu sprawa jego lekarzą.

— No dobrze — spróbował z innej strony Holl — a czy jest sprawny, żwawy?

— Niespecjalnie. Kiedy rano schodzi na parter, dopiero wieczorem wraca na górę do sypialni. Mówi, że chodzenie po schodach go męczy.

— Świetnie — uśmiechnął się Holl. — Panie Lister, sądzę, że podejmę się tej sprawy. Moje usługi są jednak dość... kosztowne. Nie pobieram jednak zaliczek, należność przyjmuję dopiero po wykonaniu zadania. Czy to panu odpowiada?

— Tak. Ile?

— W ciągu kilku dni stanie się pan prawnym posiadaczem spadku. Reszta będzie sprawą normalnej procedury spadkowej.

Lister nie mógł ukryć podniecenia.

— W ciągu kilku dni, powiedział pan?

— Tak, najdalej tygodnia. Faktyczne przejęcie nastąpi nieco później, ze względu na obowiązujące formalności; otwarcie

testamentu, wykonawcy, trochę papierkowej roboty i tak dalej.

— Otwarcie testamentu? — Lister nagle zaczął myśleć. — Ale to przecież jest możliwe tylko...

— Pan jest bardzo przywiązany do stryja? — zapytał cicho Holl.

— Przywiązany? Też coś! To nie o to chodzi, ale...

— Mogę panu obiecać, że absolutnie wszystko będzie naturalne i zgodne z prawem.

— Jak w takim razie...?

— To moja sprawa.

Lister stracił nieco ze swej pozy, a jego nos obniżył się jakby z pół centymetra.

— W razie czego nie udowodni pan, że tu byłem — rzucił nieco ochryplym głosem.

— Oczywiście. Nie chcę też od pana żadnych pisemnych zobowiązań.

Lister odetchnął głęboko, próbując wrócić do równowagi i zapytał:

— Ile?

— Dziesięć procent pańskiego spadku. Żeby nie spierać się później o drobiazgi, ustalmy zresztą od razu — czterdzieści tysięcy funtów.

— Co?!!

Holl siedział nieruchomo i patrzył spokojnie na Listera.

— Pan zwariował?!

Holl nie zareagował ponownie.

— Rozbój... — mruknął jeszcze Lister i zapytał: — Mówił pan, że kiedy to nastąpi?

— W ciągu kilku dni. Omówimy jeszcze szczegóły.

— Dobrze, niech będzie. O ile dotrzyma pan umowy.

— Naturalnie. Pan oczywiście zdaje sobie sprawę, że nie żądając pisemnych zobowiązań muszę mieć skuteczne sposoby egzekwowania należności?

— Pan się zapomina — Lister wracał powoli na stare pozycje.

— Cieszę się, że pan tak uważa. Teraz mam propozycję: — czy mógłby pan powiedzieć stryjowi, że znalazł pan dobrego i żądającego wyjątkowo mało lokaja?

Lister wzruszył ramionami.

— Jasne.

— Świetnie. Chciałbym, żeby namówił pan stryja na przyjęcie mnie celem, nazwijmy to, oględzin. Powiedzmy — od dziś za dwa dni w porze, kiedy w domu nie ma już kucharki. Będzie to możliwe?

— Mhm. Dobrze. Zadzwoń do pana jutro przed południem.

— Znakomicie.

— Czy... — zawahał się — chce pan, żebym przy tym był?

— W żadnym wypadku — uspokoił go Holl. — Może mnie pan tam co najwyżej przyprowadzić i wyjść od razu pod byle jakim pretekstem.

— Zgoda — John Lister wstał i wziął swój kapelusz z biurka. — Żegnam, panie Holl. — Zawahał się i z ociąganiem podał rękę Hollowi. Ten uściśnął ją i odprowadził gościa do drzwi. Później wrócił i usiadł przy biurku. Uśmiechnął się w zamyśleniu. Czterdzieści tysięcy funtów — mruknął. — Czterdzieści tysięcy funtów....

Dwa dni później, punktualnie o godzinie osiemnastej, do domu stryja Johna Listera zadzwonił Roger Holl.

Dom nie wyróżniał się niczym szczególnym. Stał w średnio zamożnej dzielnicy, otynkowany był na nudny, szary kolor, a żaden ciekawszy szczegół architektoniczny nie przyciągał oka. Budynek miał jednak swoje zalety, wyglądał pewnie i solidnie, nawet — jak na gust Hollá — trochę za solidnie. Do wejścia szło się ścieżką przez niewielki trawnik obramowany bladoróżowo kwitnącymi krzewami hortensji, których stan wskazywał, że opiekuje się nimi dochodzący — i to niezbyt często — ogrodnik.

Drzwi zdobiła staromodna kołatka, po krótkiej penetracji można było jednak znaleźć dyskretnie ukryty we framudze dzwonek.

Po dłuższej chwili Holl usłyszał dochodzący zza grubych, dębowych drzwi słaby szmer, szczęknął zamek i ukazała się twarz Johna C. Listera.

— Jest pan — stwierdził chłodno, ale widać było, że tym razem zachowanie snobistycznej pozy przychodziło mu z wyjątkowym trudem. — Wszystko w porządku? — zapytał natychmiast konspiracyjnym szeptem, gdy Holl zamknął za sobą drzwi.

— Naturalnie — stwierdził spokojnie Holl, przyglądając mu się zimno. — Czy prócz pana i stryja nie ma nikogo w domu?

— Oczywiście, że nie. Kucharka przygotowała kolację i poszła, a nikt inny tu nie bywa.

— Dobrze.

— Co pan chce zrobić? — zapytał Lister nerwowo szarpiąc guzik swojej marynarki.

— Nic strasznego. Niech pan się nie boi. Proszę zaprowadzić mnie do stryja, przedstawić powiedzmy jako Jakuba Browna i wyjść z domu pod jakimś pretekstem.

— Tak, tak... — strach wyciskał coraz wyraźniejsze ślady na twarzy Listera. — Jak pan chce...

— Chodźmy.

— Tak. Proszę tędy — wskazał na ciemne, szerokie schody wiodące na piętro.

Weszli razem. Na piętrze Lister przystanął przed jednym z pokoi, wysunął się przed Holla i wszedł.

— Przyszedł ten człowiek, stryju, o którym ci mówiłem — usunął się i zrobił miejsce dla Holla.

W dużym, mrocznym pokoju, w którym z nadciągającym zmierzchem walczyła tylko niewielka lampka zawieszona na ścianie, siedział stryj Johna C. Listera. Był całkowitym przeciwnieństwem bratanka. Zajmował wielki fotel stojący prawie na



środku pokoju, a jego strój i wygląd zdradzały brak przesadnej dbałości o estetykę. Miał na sobie gruby, pikowany szlafrok, nie pierwszej świeżości, spod którego wystawała wymięta, jasna koszula. Nogi w grubych skarpetach opierał na małym taborecie stojącym przed fotelem. Trudno było określić jego wiek, z pewnością jednak, Sądząc po lekko zmierzwionych, siwych włosach, pomarszczonej twarzy i przygarbionych plecach — czasy jego tężyzny i młodości musiały przypadać na lata dwudzieste.

— He? — mruknął przekrzywiając głowę. — A, dobrze.

— Tak jak mówiłem, mam spotkanie w klubie, stryju, i muszę już iść — zaczął tłumaczyć Lister.

— Taa... — ziewnął beznamiętnie stary. — Możesz iść, nie jesteś mi już potrzebny.

Holl spod oka ze złośliwą uciechą obserwował głęboką urazę, jaka odbijała się na twarzy młodzieńca. Lister parsknął lekko, powiedział zimno „dobranoc” i wyszedł z pokoju. Stary nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Popatrywał z ciągle przekrzywioną głową na Holla.

— Ładne? — zapytał wreszcie, wskazując głową na ściany. Na trzech majaczyły w półmroku płótna w ciężkich ramach, a czwartą zakrywała ciężka kotara.

— Nie znam się na malarstwie, proszę pana — powiedział stojąc ciągle koło drzwi Holl.

— To dobrze. Nie zniósłbym lokaja, który krytykowałby mój wybór — kiwnął stary głową. — Podejź no bliżej.

Holl postąpił trzy kroki.

— Jeszcze, jeszcze — zdecydował stary.

Holl przysunął się aż do taboretu, na którym spoczywały nogi starego.

— Ha — orzekł po krótkich oględzinach stary. — Służyłeś już gdzieś?

— Tak, proszę pana — odpowiedział Holl nie wypadając z roli. — Czy mam pokazać referencje?

Stary zamilkł na chwilę, wydawało się nawet Hollowi przez

chwilę, że zasłabł. Nagle jednak rzucił krótko, nie podnosząc głowy.

— Pokaż.

Holl sprężył się cały. Teraz! Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął przygotowane papiery. Trzymając je w dłoni zastygł na krótki moment potrzebny na skupienie sił, potem zrobił krok w kierunku starego.

Dalsze wydarzenia rozegrały się w ułamku sekundy. Stary drgnął i wyprostował plecy, a nagły skurcz wykrzywił mu twarz. Niemal w tej samej chwili Heli pobladł gwałtownie, w jego oczach pojawiło się zdziwienie, które ustąpiło szybko miejsca narastającemu przerażeniu. Szarpnął się, wyrwijąc rękę z dłoni starego. W piersiach poczuł straszliwy ból. Zobaczył, że zza nieruchomej dotychczas kotary wyłoniło się dwóch ludzi. Poczul, że się dusi, ból stawał się nie do zniesienia.

— Co... — wybełkotał i rzucił się do okna rozszarpując zapięty ciasno kołnierzyk. W chwili gdy miał się oprzeć o parapet, stracił przytomność. Bezwładnie, siłą rozpędu, jak taran uderzył głową w szybę. Przebił ją i zostawiając na szkle krwawe smugi przetoczył się na zewnątrz. W sekundę później do mężczyzny w pokoju doszedł przytłumiony odgłos upadku ciała na ziemię. Lemon i inspektor Calder, którzy przed chwilą wyskoczyli ze swojej kryjówki za kotarą, rzucili się biegiem do schodów. Spencer siedział nieruchomo w wielkim fotelu z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Mężczyźni wrócili po dziesięciu minutach razem z Randallem, który czekał ukryty na parterze.

W milczeniu wtaszczyli ciało Rogera Holla do pokoju.

Inspektor stanął naprzeciw Spencera i patrząc mu prosto w oczy powiedział powoli:

— Nie żyje. Zabił go pan.

Spencer drgnął i podniósł na niego wzrok. Na jego czole błyszczały kropelki potu.

— Sam się zabił, inspektorze — powiedział cicho. — Ja byłem tylko lustrem.

— Czym?

— Wytworzyłem coś w rodzaju pola ochronnego z takiej energii, jaką chciał mnie zabić. Tak, jakby nadział się na nóż, który trzymał w ręku, rozumie pan? Jego energia wróciła do niego, być może zwielokrotniona o moją. Było to możliwe tylko dlatego, że on pierwszy zaatakował i stał się tym samym bezbronny. Pozbawił się swojej energii, zużył wszystkie siły. Był w tej sekundzie słabszy od stuletniego starca. Wtedy uderzyła go powracająca fala. Przypuszczam, że nie żył, zanim dotknął ziemi. Jego energia miała potworną moc...

— Pan wiedział, że tak będzie? — stwierdził raczej, niż spytał inspektor.

— Przypuszczałem, to prawda.

— A gdyby pan zachował się inaczej, on by żył?

— Tak. Ja byłbym wtedy trupem.

Inspektor kiwnął ciężko głową i spojrzał na Randalla, który dzwonił do lekarza, po czym przeniósł wzrok na Lemona. Ten przyklęknął koło leżącego na dywanie Holla i nie odrywał wzroku od jego twarzy. Patrzył surowo, lekko zmarszczywszy brwi.

Inspektor podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

— Wiedziałeś, Jack — stwierdził bez wyrzutu w głosie.

Lemon skinął powoli głową.

— Rachunki zostały wyrównane — powiedział po chwili nie odrywając oczu od Holla.

— Pamela? — zapytał inspektor.

Lemon potrząsnął głową.

— Nawet nie — powiedział. — Myślałem o czterech starych, bezbronych kobietach.

— Reszta zależy od pana, inspektorze — odezwał się Randall.

Inspektor skinął głową.

— Wy dwaj idźcie do domu — powiedział wskazując na Randalla i Lemona. — Lepiej, żeby nie mieszać w to zbyt wielu

osób. Zostanę ja i oczywiście pan Spencer, to w końcu jego dom. Jeżeli pana podejrzenie, że przyczyną śmierci był atak serca, a nie upadek, potwierdzi sekcja, jakoś załatwimy tę sprawę. Jeżeli nie, to trochę gorzej — pomyślał chwilę — Ach, najwyżej ucierpi na tym moja, pożałuj Boże, kariera. No, już, zmykajcie, zaraz przyjdzie lekarz.

Lemon i Randall spojrzeli po sobie, po czym, podjąwszy wi-  
dać jednakową decyzję, pożegnali się szybko i wyszli. Inspektor  
podszedł do okna i obserwował, jak przechodzą przez ogród.  
Odwrócił się dopiero wtedy, gdy trzasnęła za nimi furka.

— W porządku — mruknął, podszedł do przełącznika i zapa-  
lił górne światło. — Nie musimy chyba siedzieć przy tej świecz-  
ce — powiedział wskazując na nocną lampkę.

— Inspektorze — odezwał się Spencer — sam nie wiem, czy  
powinienem pana przeprosić.

— Ja też nie wiem — mruknął Calder.

— Zrobiłbym to jeszcze raz, gdybym musiał.

— To wiem.

— Gdybym tego nie zrobił, nic byśmy mu nie udowodnili.  
Byłyby tylko moje, dziwne dla sędziów zeznania.

— Możliwe.

— Ale może pan mieć kłopoty, inspektorze?

— Mogę.

— Przykro mi.

— Mnie też.

— Więc?

— Pan mnie nie zrozumiał, panie Spencer. Przykro mi, że  
pan rozmawia ze mną tak, jak gdybyście byli jedynymi, których  
obchodzi sprawiedliwość, a mnie zależałoby tylko na posadzie.  
Może jestem nienormalny, ale poszedłem do policji dlatego, że  
nienawidzę przemocy, podstępu i zbrodni. Szczerze mówiąc,  
mam gdzieś karierę. W końcu moim obowiązkiem jest chronić  
obywateli. Dzięki temu, co stało się dzisiaj, kilku starych ludzi

pożyje pewnie dłużej i umrze ze starości, a nie przez chciwość spadkobierców. Mnie to wystarczy.

Spencer milczał chwilę zaskoczony. Pokręcił wreszcie głową i zauważył.

— Pan jest rzadkim okazem, inspektorze.

— Skazanym na wymarcie, co? — mruknął Calder.

— Podleczę pana — roześmiał się Spencer.

Z ulicy dobiegł narastający dźwięk sygnału karetki pogotowia.

Dwa dni później Lemon siedział w swoim mieszkaniu, popijał czwarte piwo i z zadumą patrzył na leżący na stole reportaż. Musiał trochę w nim nakłamać. Z oczywistych względów nie mógł opisać zakończenia historii, postanowił też — po usilnych prośbach Randalla i Spencera — nie opisywać dokładnie bioenergetycznej metody mordercy. Zawsze istniało ryzyko naśladownictwa. Reszta była jednak dostatecznie sensacyjna, by materiał trafił na pierwszą kolumnę. Sześć powinien być zadowolony. Pozostawała jeszcze do rozstrzygnięcia jedna kwestia. Lemon sięgnął po kartkę, na której miał wypisane nazwiska i telefony czworga znanych mu „klientów” Holla. Tę sprawę musiał załatwić do końca. Sięgnął po słuchawkę i wykręcił pierwszy numer. Zaczął oczywiście od Beynamów.

— Pan Beynam? — zapytał. — Mówi pański sparring partner.

— Kto?

— Lemon.

— Jak pan śmie jeszcze... Zawiadomię policję!

— Nie trzeba, zajmę panu tylko sekundę. Chciałbym się pochwalić. Dziennikarze są próżni, wie pan. Lubię rozgłos. No więc chciałem się pochwalić, że jutro ukaże się mój doskonały reportaż, nawiązujący do najlepszych tradycji gatunku. Wie pan o czym?

— Panie...I  
— Oczywiście o Rogerze Hollu.  
Po drugiej stronie telefonu zaległa cisza.  
— Mam nadzieję, że pan nie zemdłał, bo jeszcze nie skończyłem opowiadać. Dla pana też znalazłem w nim miejsce. Razem z małżonką, oczywiście...  
— Nie znam żadnego Holla!  
Lemon roześmiał się głośno.  
— Jasne, ale wie pan, ten artykuł może być dopiero początkiem. Idą ciężkie czasy dla spadkobierców.  
— Czego pan chce?  
— Jest was czworo klientów — wyjaśnił Lemon. — Miałbym wyrzuty sumienia, gdybyście przeze mnie poszli do więzienia. Mam na przykład notes Holla — dodał pozornie bez związku.  
— Natomiast wpadłem na lepszy pomysł. Słyszał pan o Towarzystwie Kardiologicznym?  
— Co?  
— Towarzystwo Kardiologiczne. Zajmują się, o ile wiem, finansowaniem poszukiwań nowych metod leczenia chorób serca, rozwoju badań naukowych i tak dalej. Pomyślałem sobie, że byłoby pięknie, gdyby pan im pomógł.  
— Nie rozumiem...  
— To przecież proste. Wpłaci pan na ich konto trzydzieści tysięcy funtów. Bardzo się ucieszą, bo razem z innymi to będzie sto dwadzieścia. W uznaniu pańskich zasług ja z kolei zmienię państwa nazwisko i adres w moim reportażu. Oczywiście, o ile do jutra, do dziesiątej rano prześle mi pan do redakcji pokwitowanie wpłaty.  
— To... Szantaż! — wybuchnął Beynam.  
— Pan sądził, że nie wiem? — zapytał Lemon i odłożył słuchawkę.  
Wykonał jeszcze trzy podobne telefony.

Następnego dnia wieczorem Lemon przyniósł Pameli do szpitala egzemplarz „Evening Standard „. Na pierwszej stronie wielkimi literami rozciągał się tytuł: „ADWOKAT DIABŁA”.

Pamela z płonącymi policzkami przeczytała tekst. Pod ostatnim zdaniem znajdował się dopisek: „Wszystkie nazwiska — z uwagi na brak dowodów — zostały zmienione”.

—A gdyby nie zapłacili? — zapytała oglądając cztery bankowe kwity, które podał jej Lemon.

—Mój Boże — uśmiechnął się Jack — i tak musiałbym zmienić nazwiska. Naprawdę nie mam żadnego dowodu.